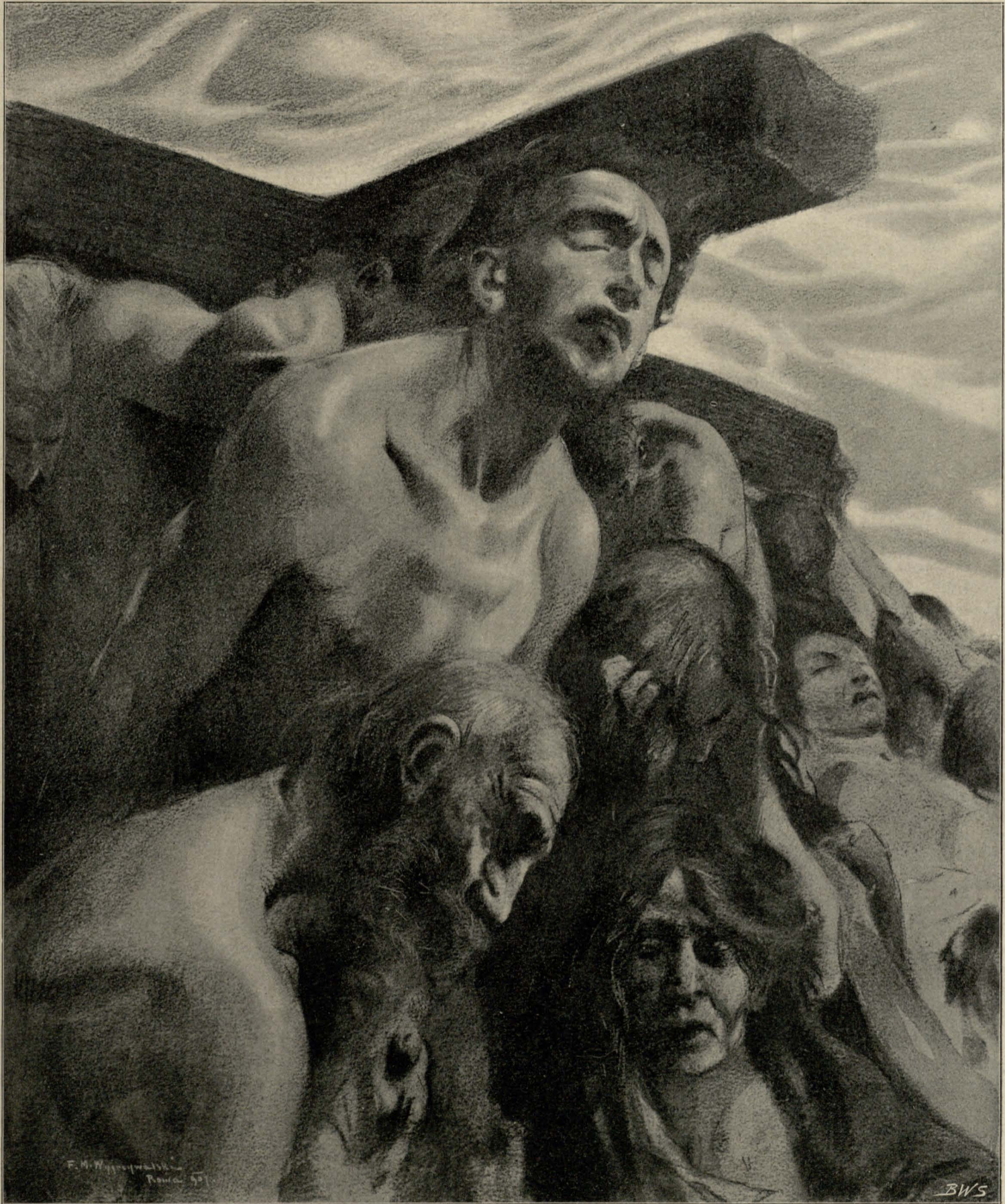


TYGODNIK ILLUSTROWANY



BÓL LUDZKOŚCI.

F. M. WYGRZYWAŁSKI.

W sześćdziesiątą rocznicę dwóch zwycięstw.

Wobec ucisku, jakiego naród polski doznaje pod panowaniem pruskim, pożytecznym będzie przypomnienie, że nie dawniej, jak przed sześćdziesięciu laty, sztandar nasz zwycięsko powiewał nad wielkopolskimi niwami, a zastępy butnych Prusaków pierzchały przed ostrzami broni polskiej w trwodze i nieładzie.

Sześćdziesiąta rocznica tych wydarzeń upłynęła właśnie w ostatnich dniach kwietnia i pierwszych maja r. b.

Powiew swobody, który przemknął nad Europą na wiosnę 1848 roku, oddziałł nawet na Berlińczyków, wydobył z ich pruskich serc sympatyę dla hasła braterstwa ludów i pobudził do energicznego żądania zmiany rządów pruskich w duchu liberalnym. Pod naciskiem tych żądań, król Fryderyk Wilhelm ogłosił państwo swoje za część składową Rzeszy niemieckiej, pozwalając poszczególnym prowincjom należeć, lub odłączyć się od niej. Polaków, zamkniętych w berlińskim więzieniu Moabicie, wypuszczono na wolność. Lud berliński oprowadzał ich w tryumfie po ulicach pruskiej stolicy, zmusił króla do oddania im czci i wznoszenia okrzyków na cześć Polski.

Zdawało się, iż zaczynają się dni pomysłności dla Polaków, berłu pruskiemu podległych.

Komitet narodowy polski, za wiedzą władz rządowych utworzony w Poznaniu, przejął ideą braterstwa ludów, wierzył święcie, że przysłowie: „póki świat światem, nigdy Polak Niemcowi nie będzie bratem“ należy już do zabytków niepowrotnie minionej przeszłości, i, ufając w dobre chęci nowego rządu pruskiego, działał łagodząco na lud wielkopolski, który właśnie wówczas przebudził się i gotów był umierać w obronie ideałów narodowych, gotów był na śmierć za te ideały: „były tylko te Niemce nad nami nie przewodziły.“

Przysłowie: „vox populi, vox Dei“ nie zawsze jest prawdziwe, bardzo często zawodzi; lecz na wiosnę 1848 roku lud wielkopolski daleko zdrowiej zapatrywał się na stosunek Polaków do rządu pruskiego, aniżeli ówcześni nasi przewodcy.

Lud nie wierzył w prawdopodobieństwo uzyskania czegokolwiek od rządu królów pruskich na drodze pokojowej, przeciwnie, Komitet narodowy ludził się nadzieją, że porozumienie z rządem jest możliwe. A tymczasem rząd ten, z istic pruską perfidią, z jednej strony ludził Komitet rozmaitemi obietkami, przyzwalał milcząco na formowanie wojska narodowego, dawał do zrozumienia, że wojsko to będzie walczyć obok pruskiego w interesie ideałów narodowych polskich, a z drugiej podszczywał Niemców i Żydów, mieszkających w Wielkopolsce, przeciw Polakom i z gorączkowym pośpiechem zalewał ją wojskiem pruskim, ściskając niem zewsząd polskie obozy.

Chociaż obłuda i zła wola rządu pruskiego była już aż nadto widoczna, a wojsko

pruskie, coraz bardziej rosnące w siłę, zaczęło napastować Polaków, odbierać kosy i lance wieśniakom, dopuszczając się przytem mordów i grabieży, Komitet narodowy poznański wciąż jeszcze się ludził nieuzasadnionymi nadziejami i zawarł z generałem pruskim Willisenem, przysłanym do Poznania, nibyto w celu organizowania kraju na polski sposób, ugodę, dnia 11 kwietnia 1848 roku, w Jarosławcu, mocą której formujące się wojsko polskie zredukowano do niespełna trzech tysięcy ludzi i rozłożono w czterech obozach: pod Pleszewem, Nowem Miastem, Książem i Miłosławiem.

Teraz jednak rząd odwołał Willisena, ogłosił w Poznaniu stan oblężenia i otoczył obozy polskie trzydziestoma tysiącami Prusaków, którzy, rozciągnięci w kordon, poczynający się w Trzemesznie na północy i ciągnący ku południowi przez Środę i Śrem do Krotoszyna, przecj zaczęli ku granicy Królestwa.

Widoczne było, że Prusacy zamierzają wojsko nasze rozbroić.

Ale wojsko to nie miało wcale ochoty do składania broni, owszem, pożądało gorąco do boju.

„Inspektor obozów polskich“, Ludwik Mierosławski, uwielbiany przez naszych wiarusów i zwany przez nich: „Naczelnikiem“, postanowił zgromadzić siły polskie w Miłosławiu i miejscowość tę uczynić jądrem oporu. Tymczasem jednak komenderujący naczelnie Prusakami, generał Colomb, rozpoczął już zaczepne działanie. Na rozkaz jego generał Brandt napadł z nienacka dnia 29-go kwietnia, na czele sześciu tysięcy żołnierzy i siedmiu dział, na obóz w Książu i załogę jego, liczącą zaledwo 753 ludzi, po zaciętych, bohaterskim oporze, poczęści wymordował, a poczęści ciężko poranioną zabrał do niewoli.

Zalogi obozów w Pleszewie i Nowem Mieście, na wieść o tym zdradzieckim napadzie, ruszyły chyżo do Miłosławia.

Miłosław zajmowało 140 naszych ułanów, 270 strzelców i około 700 kosynierów, razem 1100 ludzi, z czterema małymi armatkami. Prócz tego rano wczas, dnia 30 kwietnia, gdy Prusacy pod wodzą generała Blumeny, dążąc ze Środy, pojawili się w pięć tysięcy ludzi z sześciu działami przed Winną Górą, położoną o 3 kilometry na zachód od Miłosławia, załoga obozu nowomiejskiego pod dowództwem Garczyńskiego znajdowała się w Murzynowie o 8 kilometrów od tego miasta, a oddział pleszewski, z Białoskórskim na czele, jeszcze dalej na południe.

Według planu generała Colomby, oddziały Blumeny i Brandta miały uderzyć równocześnie na Miłosław. Brandt jednak przy zdobywaniu Książa takie poniósł ciężki, iż ruszyć się nie mógł. Zawiadomił o tem Blumeny, ale huzar, wiozący tę wiadomość, wpadł w ręce naszych. To też Blumeny, spodziewając się nadciągnięcia wojsk Brandta, nie śpieszył się z rozpoczęciem bitwy. Nie śpie-

szyl się również i Mierosławski, w oczekiwaniu przybycia Garczyńskiego i Białoskórskiego.

Prusacy, przebywszy Winną Górę, rozwinęli się okazale na zachód i północ od Miłosławia, ale, chcąc zyskać na czasie, wysłali parlamentarza z zaproszeniem polskiego wodza na rozmowę z Blumenem.

Rozmowa ta naturalnie nie doprowadziła do pokojowego wyniku. Tak więc po godzinie 9 rano ryknęły armaty—i zawarł bój.

Prusacy uderzyli na Miłosław. Było ich pięciu na jednego Polaka, to też chwilowo mieli przewagę i po zaciętej, upartej walce zdobyli miasto. Huzary i kirasyery pruskie, z plutonem artylerji konnej, wypadły zuchwale na pola, rozciągające się na południe od Miłosławia, pomiędzy drogami do wsi Kozubca i do Nowego Miasta. Tutaj czekała ich niespodzianka, gdyż właśnie nadciągnął Garczyński, a tuż za nim wyjrzały z lasu czoła oddziału Białoskórskiego.

Teraz zmieniły się role, wprawdzie Prusaków było jeszcze dwa razy tyle, co naszych, ale, zaatakowani przez naszych ułanów od czoła, a kosynierów z boku, zachwiali się i uciekli napowrót do miasta tak chyżo, iż przy złączeniu się dróg u wejścia do Miłosławia jazda ich i artylerja wpadła na własną piechotę, rozbiła ją i stratowała.

W trop za uciekającymi żołnierzami króla pruskiego wpadli strzelcy nasi i kosynierzy w ulice miasta i po zaciętym boju wyrzucili Prusaków z Miłosławia.

Była godzina trzecia po południu, gdy na gościńcu, wiodącym ku Winnej Górze, ukazały się butne szwadrony i bataliony pruskie, uciekające w dzikim nieładzie, a za nimi garstka naszych ułanów, ścigająca je wśród radosnych okrzyków zwycięstwa.

Zmęczenie wojska naszego, którego część całą noc maszerowała z Pleszewa i Nowego Miasta, nie pozwoliło na skuteczniejsze ściganie nieprzyjaciela, ten jednak cofał się dalej raz nabytym rozpędem i nie zatrzymał się, aż w nieblizko od Miłosławia położonej Środzie.

Korzystając ze strat, poniesionych w Książu przez Brandta, i klęski Blumeny w Miłosławiu, chciał Mierosławski wymknąć się z pomiędzy kordonu Prusaków i granicy Królestwa i przez Wrześnię, pomijając Gniezno, pociągnąć na Kujawy, pod Rogowo, gdzie lud był bardzo wojowniczo usposobiony.

Nie zaraz jednak mógł przystąpić do wykonania swojego zamiaru.

Zwycięstwo miłosławskie wzbudziło wśród naszych żołnierzy ogromny zapał i poczucie siły; ale na oficerów, pochodzących z Wielkopolski, podziałało ujemnie. Wzniciło w nich bowiem chęć wyzyskania zdobytych warunków w celu zawarcia ugody z Prusakami. Powstały w skutek tego niesnaski w obozie, tak że dopiero dnia 1 maja, to jest nazajutrz po zwycięstwie, wyruszyło wojsko nasze, o godzinie 11 wieczór w drogę



PRZED WOJNĄ ŚWIĘTĄ.—Fantazya.
Z Salonu T. Z. S. P.

A. W. KOWALSKI.

i po całonocnym marszu zajęło Wrześnię o godzinie 4 rano 2 maja.

W dwanaście godzin później, gdy o 4 po południu miano wyruszyć w dalszą drogę, zjawili się Prusacy ze strony północnej na gościńcu od Gniezna.

Były to, prowadzone przez generała Hirschfelda, cztery bataliony piechoty, dwa szwadrony jazdy i sześć armat, przeto siła dwa razy większa od naszej, nie liczącej więcej nad dwa tysiące ludzi.

Nasi uszykowali się do boju na północ od Wrześni, czołem do Sokołowa, wsi o dwa kilometry odległej.

Środek nasz zajęły cztery bataliony kosynierskie, które ze sprawnością starych żołnierzy uformowały się w czworoboki, ze strzelcami w naczelnych szeregach. Na lewo stanęła jazda z czterema armatkami, na prawo, wśród zarośli strzelcy, rozsypani w tyraliery.

Prusacy, zająwszy bez oporu Sokołowo, rozwinęli się przed nim i rozpoczęli gwałtowny ogień działowy na strzelców w zaroślach i przeciw kosynierskim czworobokom; poczem na czworoboki te natarła jazda pruska z wielką furją, fantazją i ogromnym impetem; lecz, powitana celnym ogniem strzelców i szczękiem kos naszych kosynierów, nie dosięgła naszych szeregów i pierzchnęła w zupełnym nieładzie.

Na widok tej ucieczki, radosne hura

grzmi wzdłuż polskich szeregów. Kosynierzy ruszają naprzód, jak burza, i, nie zważając na morderczy ogień dział i karabinów pruskich, wdzierają się do wsi Sokołowa. Równocześnie jazda nasza, obchodząc tę wieś lewym ramieniem naprzód, zagraża drodze odwrotu Prusaków, a strzelcy, wysunawszy się z zarośli, oskrzydłają ich z drugiej strony.

Wobec tego generał Hirschfeld dał rozkaz odwrotu. Prusacy opuścili chyżo Sokołowo i zaczęli się cofać w stronę Gniezna, ku wsi Gulczewkowi. Na pierwszym kilometrze odwrót ten odbywał się w porządku, u wejścia do wsi tej jednak, pod naciskiem naszego pościgu, zamienił się w bezładną a chyżą ucieczkę.

Rozbite zastępy hardych Prusaków pierzchały, co nóg stało, i nie oparły się aż we wsi Czełuścinie, o 10 kilometrów blisko od pola bitwy. Tu zamierzały się zatrzymać pod osłoną zapadającej nocy, lecz nie pozwolił im na to Mierosławski. Wpadłszy na czele ułanów do Czełuścina, rozgromił je i przy pomocy nadbiegających za ułanami strzelców i kosynierów zmusił żołnierzy Hirschfelda do dalszej ku Gnieznu ucieczki.

Bitwa pod Wrześnią, prowadzona po mistrzowsku od początku do końca przez polskiego wodza, zakończona świetnym zwycięstwem, przerwała pierścień wojsk pruskich, usiłujących przyprzeć polskie zastępy do granicy, i otwarła im wolną na Kujawy drogę.

Jednakże drugie to zwycięstwo, odniesione w r. 1848 na wielkopolskich polach, wywarło taki sam wpływ na ówczesne wojsko nasze, jak pogrom Prusaków pod Miłosławiem: zwiększyło jeszcze bardziej zapal w szeregach żołnierzy, ale zarazem spotęgowało chęć wyzyskania powodzeń orężnych w celu zawarcia ugody z Prusakami wśród wątpliwych w możliwość ostatecznego zwycięstwa oficerów wielkopolskich.

Tym razem chęć ta była tak silna, że zwycięskie zastępy nasze, nie ufając zawartej ugodzie z wiarołomnym wrogiem i nie chcąc się kalać złożeniem przed nim zwycięskiej broni, rozeszły się w dniu 8 maja po lasach i, zakopawszy broń w rozmaitych miejscach, podążyły bądź do ogni domowych, bądź na nowe tułactwo.

Nie przekreśla to przecież chwały dni 30 kwietnia i 2 maja 1848 roku, chwały zwycięstw, odniesionych przez świeżo sformowane zastępy ochotników, idących po raz pierwszy w ogień, nad kilkakrotnie liczniejszym, regularnym wojskiem, używającym sławy jednego z pierwszych w Europie.

Zwycięstwa z pod Miłosławia i Wrześni należą do dni chwały oręża polskiego, zapisanych tak obficie i wspaniale na dziejowych kartach; a dziś, wobec rozpasania się bezprawia i buty krzyżackiej, niech nam będą otuchą i wróżbą lepszej, szczęśliwszej przyszłości.

Kraków, w czerwcu.

X.

We środę, około dziewiątej, rodzina Linowskich, doktor, panna Jadwiga i Świrski siedzieli przy śniadaniu. Panie raczyły się kawą zbożową, doktor i młodzi pili herbatę, a podleśny gorącą wodę z mlekiem. Dzień był mroźny, ale słoneczny, stary Linowski czuł się znakomicie zdrowszym, więc wszyscy byli w doskonałych humorach, wszyscy, z wyjątkiem Dębowskiego, który krzywił się, że nie pozwolono mu wrócić do miasta.

— A zatem po śniadaniu zabierajcie się panie do pierogów... — rzekł Linowski. — Bardzom ciekaw, jak udadzą się pannie Jadwidze?...

— Przecież ja nie będę ich piekła sama... — odpowiedziała, wskazując na siebie paluszkiem. Gest był tak ładny, że Świrski zarumienił się, niewiadomo z czego.

— Ani ty nie będziesz ich jadł, panie ex-poruczniku — mruknął doktor.

— Dlaczego?... — oburzył się Linowski. — Wigilia w sobotę...

— Ale wy powinniściejechać jak najprędzej, a zatem przed wigilią.

— Czy to konieczne?... — zapytała Linowska, a wielkie jej oczy straciły blask.

Niby w odpowiedzi, krótko zaszczekały psy podwórzowe, a na ganku rozległo się uderzanie nóg o podłogę.

— Ktoś znajomy?... — rzekł Linowski, podnosząc głowę i nasłuchując.

Otworzyły się drzwi, i stanął na progu chłop szpakowaty w wielkim kożuchu.

— Pochwalony!... — odezwał się przybysz, obcierając zmarznięte wąsy.

— Kobiela!... — zawołał Świrski i zerwał się od stołu. — Macie list od stryja?...

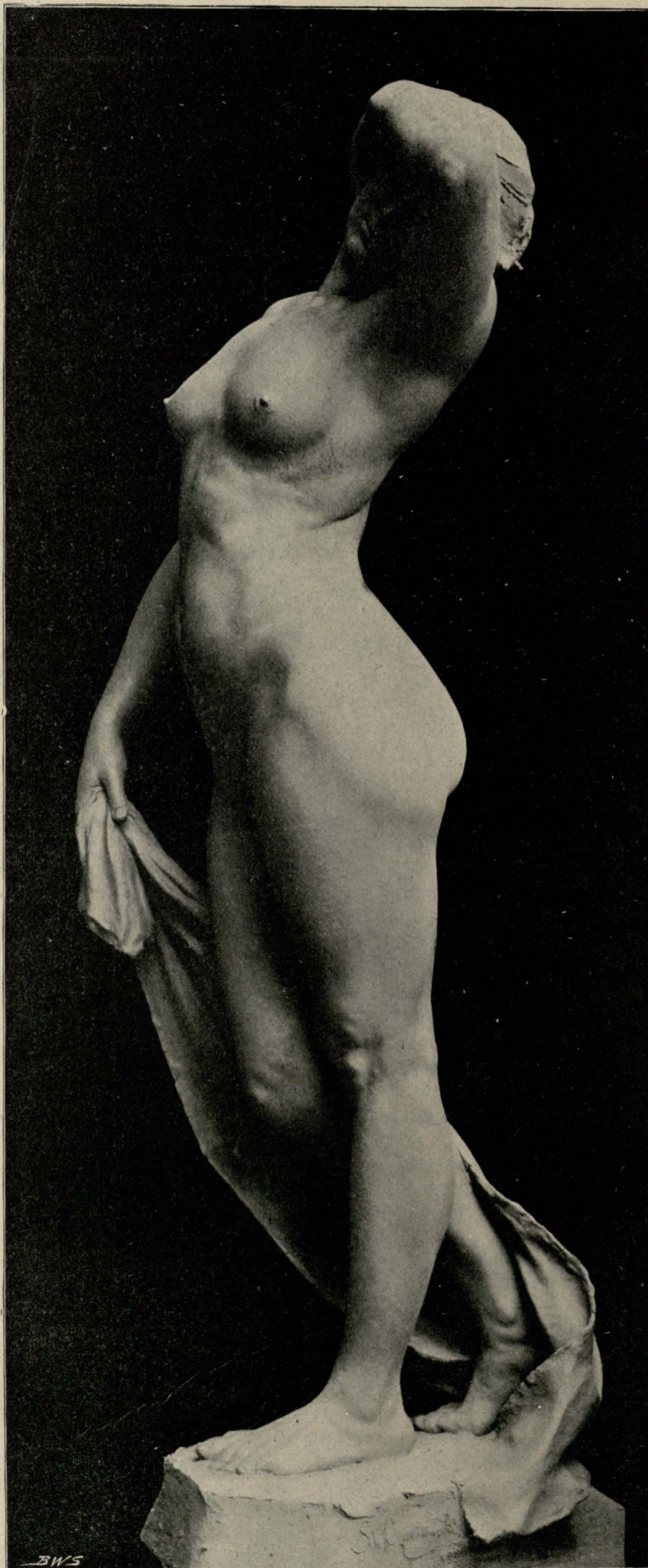
Chłop milczał, zakłopotany.

— Przynieśliście odpowiedź?... — zapytał Władek.

— Kiedy nie wiem, jak mam rzec?... — odparł chłop, namyślając się.

— Najlepiej prosto z mostu — wtrącił Dębowski.

— Może i tak... Ja nie od dałem listu...



KOBIE TA.

STANISŁAW CZARNOWSKI.

Z Salonu Paryskiego, odznaczona „Mention Honorable”.

— A to znowu co?... — zdziwił się Władek.

— We Świrkach, we dworze pełno wojska... Nie dopuścili mnie... Wreszcie mówili ludzie ze wsi, że pan dziedzic, niby pan Świrski starszy, zachorował...

— Stryj zachorował?... — odezwał się Kazimierz zmienionym głosem.

— A cóż we dworze robi wojsko?... — zapytał Dębowski.

Chłop oglądał się... wahał...

— O, mój Walenty, nie marudźcie!... — wtrąciła pani Linowska. — Siadajcie... naleję wam herbaty... Tu wszyscy swoi, mówić można.

— Ha, kiedy można... Sałdady i strażniki przyszli aresztować pana naczelnego... niby panna Świrskiego...

Panna Jadwiga zbladła i podniosła oczy na Świrskiego, który, pod jej spojrzeniem, znowu zarumienił się.

— Pan doktor — rzekł młody chłopak — już mnie uprzedził, że jestem poszukiwany... — I uśmiechnął się.

— Ależ, panie... oni rozstrzelali kolegę pańskiego... — szepnęła Jadwiga.

— I my potrafimy umrzeć!... — odezwał się Władek, kładąc rękę na piersi, niby aktor.

Doktor spojrział na panią Linowską, która rzekła półgłosem:

— A niech już sobie jada... choćby i zaraz!...

— Wyjechawszy stąd o jedenastej, na czwartą byłiby w Grudzie, a o w pół do piątej nawet zagranicą, gdyby okazała się potrzeba — dodał doktor.

— Jednego mogła bym ukryć, nawet przed najściślejszą rewizją... Ale trzech nie potrafiał... — zwróciła się pani Linowska do męża.

— O jedenastej wyjeżdżacie!... — rzekł Dębowski, patrząc na zegarek.

— Jak trzeba, to trzeba... — odpowiedział Linowski, ciężko podnosząc się od stołu.

Władek bladł i rumienił się, ale patrzył na ojca.

— Pan jedzie z nimi?... — zapytał Dębowski Świrskiego.

— Nie. Ja pójdę z Kobielakiem na wieś — odparł Świrski. I wykonał ruch, jakby miał zamiar pożegnać się.

Linowska szybko zbliżyła się do niego, a ujawszy go za rękę, rzekła stanowczym głosem:

— Nigdy!... Powiedziałam, że jednego potrafię schować przed rewizją i—schowam. Pan zostaniesz u nas tak długo, dopóki nie wyjaśni się pańska sprawa, albo dopóki nie otoczą nas, że trzeba będzie uciekać...

Zmusiła Świrskiego, że znowu usiadł, i chciała nalać herbatę Kobielałowi. Ale ręce jej drżały, więc wyręczyła ją panna Jadwiga, choć i tej szło niesporo.

— Za przeproszeniem państwa — odezwał się Kobielał—panicz Świrski powinien się schować na ten czas...

Obecni zwrócili się do niego.

— Bo we wsi mówili—ciągnął chłop— że w partyi Zajęczkowskiego to panicz rozkazuje, a Zajęczkowski tylko spełnia przykazy... Ja się z tego roześmiałem, ale we wsi powiedzieli, żebym się nie śmiał, bo strażniki mówią, że, gdyby złapali panicza, to byłoby źle...

— Powtórzcie, co mówią... powtórzcie! — uśmiechnął się Kazimierz.

— Kiedy pan sam chce, to powtórzę, choć ony głupie są... Ony, niby strażniki, mówią, że sąd wojenny powiesiłby panicza na najwyższej szubienicy...

Pannie Jadwidze o mało nie upadła szklanka z herbatą.

— Powaryowali!... powściekali się!... — zawołał Władek.

— Ony tak mówią — ciągnął chłop — bo ony myślą, że panicz radzi Zajęczkowskiemu...

— Aha!... — wtrącił Dębowski. — Więc z Zajęca już po kilku dniach zrobił się Zajęczkowski. (DCN)



Róże.

Róże zwiędłe, starcze, anemiczne
kładę słabą ręką na wezgłowie...

Ich nie rosił deszcz, ni lzy kryniczne,
nie całował rzeźwy wiatr w parowie...

Róże zwiędłe, starcze, anemiczne
w nawpółciemnej wzrosły gdzieś cieplarni,
śniąc, że dale, dale bezgraniczne
dają dużo światła, świeżej darni...

Róże zwiędłe, starcze, anemiczne
w grobowcową każę kłaść amfore
i zapalić światło mdle, gromniczne...
Niech dogasa w niem me serce chore...

SAVIIRI

ZUZANNA ALEKSANDRA:

Z WRAŻEŃ.

BOLESŁAWOWI PRUSOWI.

II. ŁAN ŻYTNI.

Łan dojrzałego żyta... Szumi morze kłósów, którym słońce użyczyło złota... Szumi melodyę łąta piękną, młodą, potężną, jak samo życie młode, co zenitu swej potęgi sięga.

Kołysząc się, kłosa ciężarne chwałą ziemię i słońce, ziemię—dobrą matkę i słońce—stworzyciela, którego spojrzenie daje życie. Chwieją się sennie w śnie miłosnym kłosa złote... W śnie o szczęśliwości bezkresnej, nieogarniętej, jak łany szumne...

Wśród złotej grzywy zbóż czają się do brotliwe, niebieskie oczy bławatów, rozmiłowanych w niebie bezobłocznym, siłą tej miłości upodobniające się do błękitu... Maki sennie, znużone gorącem, ognistym pożądaniem życia, ukolysane szelstem zbóż...

A dzwonki blade dzwonią na *południe życia*, dzwonią wytrwale w tę jasną, słoneczną letnią niedzielę...

O, jakżeś piękny, łanie złoty, łanie szumiący w ten dzień wesoły! Jak pas bogaty, opasujesz biodro wzgórz dalekich, pas złoty, poprząkany barwnym jedwabiem maków i bławatów!

Ciesz się oczy widokiem bogactwa ziemi, cieszy się dusza poezją wszechświata...

Drapieżne, wyciągnięte ręce. Chude, czarne palce, zakrzywione, jak szpony. Ryk stu piersi, wycie szakali za żerem. Żądza, nienawiść, zemsta, głód, *Głód!*

— Chleba, chcemy chleba!

Są głodni. Żołądki zapadłe, wargi suche, w oczach gorączka. Niema indywidualności, niema zróżniczkowanych pragnień—jest tylko żądza, jedna, olbrzymia, rwąca, rozpaczna żądza, zamieniająca ludzi w jedną masę, w jedną bryłę pożądającą, mściwą, straszłą.

Chcą chleba. Chcą żyć, bo żyć *muszą*. O ten chleb wołają, o chleb walczą, który im do życia potrzebny. Czem jest chleb? Zaspokojeniem najpierwotniejszych potrzeb. Niema mowy o poezji, o sztuce, o jakimkolwiek pięknie. Bez chleba niema egzystencji — z chlebem jest nędza,

jest męka, jest rozpacz, ale jest możliwość bytowania. Bytować zaś musi człowiek, bo tego wymaga od niego ludzkość. Przez usta człowieka głodnego ludzkość upomina się o swe prawa, o swą ciągłość, o nieprzerwany łańcuch egzystencji...

Upomina się o swą mękę.

W męce głodnego jest fatalne pragnienie życia przyszłych pokoleń, życia nędznego, okropnego, pełnego troski, buntu, rozpaczki. Jest to ślepa, a wielmożna siła, która żąda ofiar i męczarni.

Dlaczego? Na co?

Usta żebrzą o chleb, a pięść grozi.

Błaganie i groźba. Cichy jęk bólu i straszliwy krzyk bezsilnej, bezrozumnej żądzy.

Cale rzesze walczą, cierpią, upadają, giną, leje się krew ofiarna, powiewają krwawe sztandary, ale inne rzesze nie wiadomo jakim cudem powstają i z pola trupów idą nowe wojska męczenników, którzy walczą nie za swoje, lecz za *ich* potrzeby.

Za tych, co przyjdą.

I żyją tak, w ciemnych piwnicach beznadziejnie, gdzie czai się rozpacz w fuchmanie, gdzie żaden promień, zwiastun szczęśliwej godziny, nie ześlizgnie się wzdłuż wilgotnych murów, żyją tak w więzieniu żądzy, nigdy nie zaspokojonych, i które zaspokojone być nie mogą... I nie mają ani snu, ani spokoju, ani żadnej radości. Bowierni są głodni...

O łanie żyta, łanie złoty, z którego mamy chleb, o który ludzie walczą, jakże szumisz, jakże złocisz się w słońcu przepysznie! Jesteś radością życia, jesteś poezją lata! Jak pas złocisty, bogato haftowany, szkarłatem i szafirem, opasujesz smukłe biodro wzgórz, a szumisz melodyę radosnego lata, bogatych żniw, tryumfującej młodości, co zenitów swych sięga!

Czyż jedna i ta sama rzecz może być powodem męki i powodem zachwyty?

O, łanie złoty, łanie chleбно!

Nalęczów, w czerwcu.



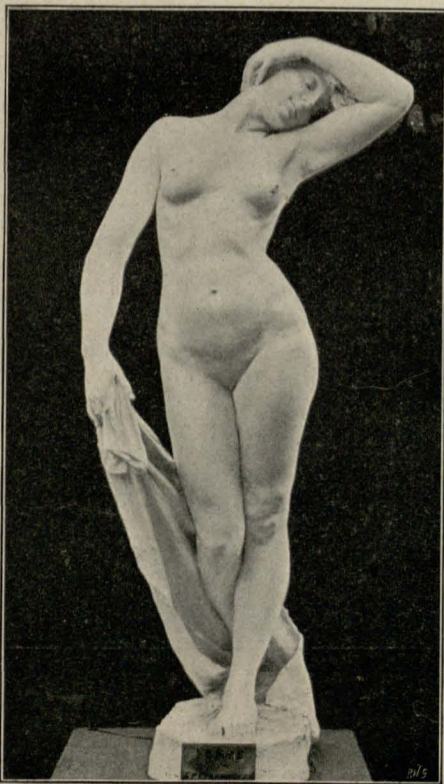
Nie będę nigdy...

Nie będę nigdy na złotej strunie,
Na serca strunie grać,
Bo pieśni moje złożone w trunie,
Gdzieś na dnie morza—
Gdzieś na dnie życia—
Któż je tam pójdzie brać...

W słońcu się bieli przejasna droga,
Zielonych droga pól—
Daremnie w ludziach szukałem Boga..
Drogi rozstajne
Szły znakiem krzyża
Szedeł n'emi cichy ból...

Nocą, gdy smutne zaszumią drzewa,
Opadnie z drzewa liść—
Coś w szumie zda się pieśń śmierci śpiewa,
A liść zblakany
Szelestem pyta:
Dokąd i po co iść?...

LILIANA.



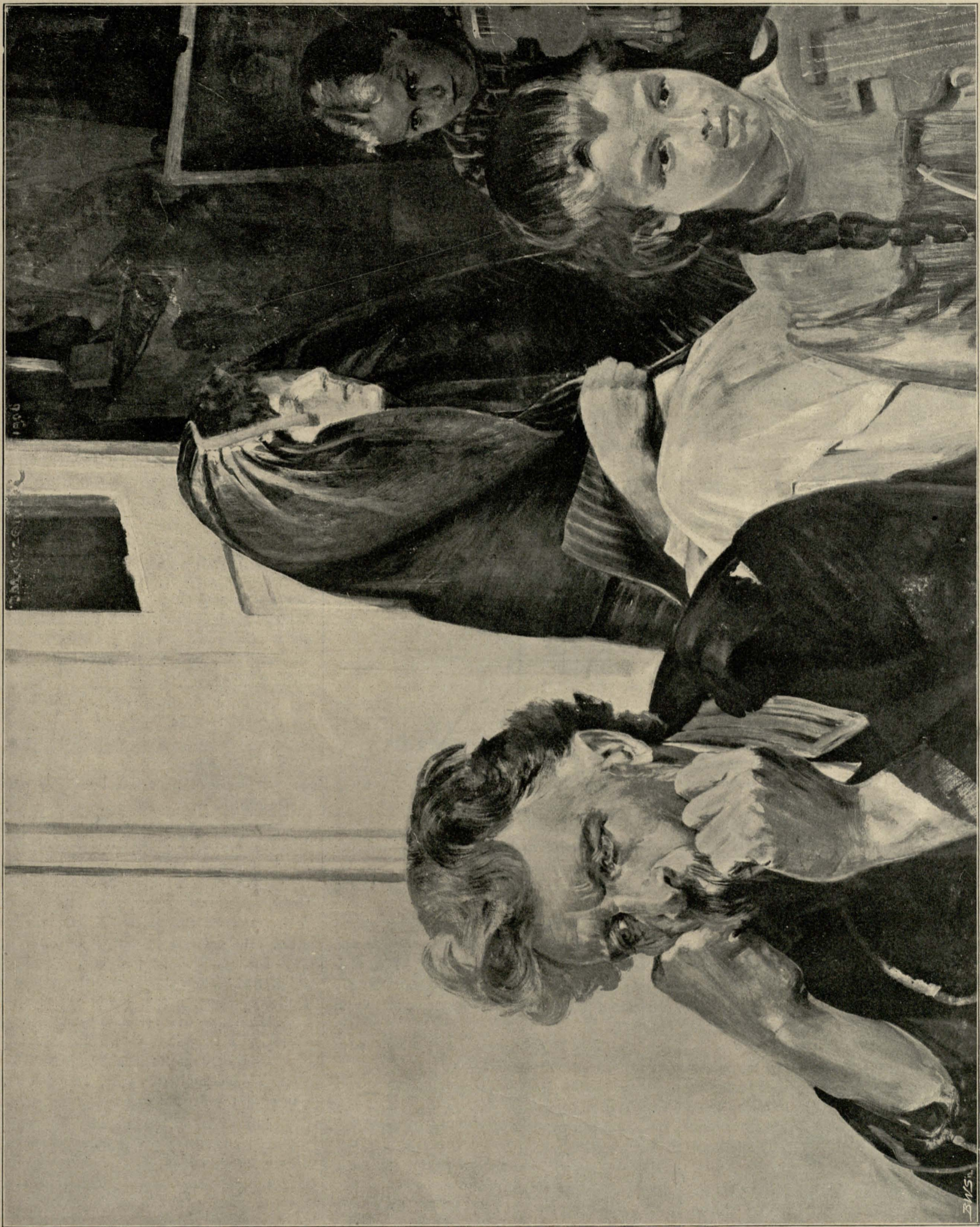
KOBIEŁA.

ST. CZARNOWSKI.



WYŚCIGI NA JARMARKU.

JÓZEF BRANDT.



WSPOMNIENIE LAT MINIONYCH.

JACEK MALCZEWSKI.

— A poganiny zapowietrzzone, śmiały się z pacierza.

— Tom każdemu zosobna pomacał żebra, i poniechały!

— Cie, takiś to mocarz!

— Mocarz nie mocarz, ale trzem radę dam!—przechwalał się z uśmiechem.

— Byłeś to na wojnie, co?

— Jakże, przecież z Turkami wojavał. Pokorzyli ich do cna!

— Pietrek, kajże to drzewo?—zawolała znowu Hanka.

— A tam, kaj było przódzi!—odburknął pod nosem.

— Dyc gospodyni cię woła—upominał nasłuchujący dziad.

— Niech woła, a juści, może jeszczek statki mył będę!

— Głuchys, czy co?—wrzasnęła, wybiegając przed dom.

— W piecu palił nie będę, nie do tegom się godził—odkrzyknął.

Wywarła na niego gębę po swojemu.

Ale parob bardzo hardo odszczekiwał, ani myśląc posłuchać, a kiej go jakimś słowem barzej dojena, wraził widły w gnój i zawołał ze złością:

— Nie z Jagusią macie sprawę, nie wygonicie me krzykiem.

— Obaczysz, co ci zrobię! Popamiętasz!—groziła, dotknęta do żywego, i już rozeżłona tak zwiwała się kole chleba, jaże tuman mąki zapełnił izbę i buchał przez okna. Marmrotała jeno na zuchwalca, wynosząc chleby w ganek, to dorzucając drewek do pieca, albo i wyzierając za dziećmi. Strudzona już była z pracy i spieki, bo w izbie gorąc jaże dusił, a w sieniach, kaj się buzowało w szabaśniku, też ledwie odzipnął, że przytem i muchy, od których roily się ściany, brzęczały nieustannie i ciężły wielce dokuczliwie, to prawie z płaczem oganiała się gałęzią i tak już była spocona i rozdrażniona, że robiła coraz wolniej i niecierpliwiej.

Właśnie ostatni nabier ciasta wygniatała, gdy Pietrek wyjechał z podwórza.

— Poczekaj, dam ci podwieczorek!

— Prrr! A zjem, niezgorzej już mi kruczy w brzuchu po obiedzie.

— Mało to ci było?

— I... płowe jadło, to przelatuje przez żywot, kiej bez sito.

— Płowe! widzisz go! Cóż to, mięso będę ci dawała? Sama po kątach też nie chlam kielbasy. Drugie na przednówku i tego nie mają. Obacz no, jak to żyją komornicy.

Postawiła w ganku dzieżkę zsiadłego mleka i bochen.

Przysiadł łakomie do jadła i zwolna się nadziewał, podrzucając niekiedy glonki chleba boćkowi, którego przygrajdał się ze sadu i warował przy nim, kiej pies.

— Chude, sama serwatka — mrucał, podjadłszy już nieco.

— A możebyś chciał samej śmietany, poczekaj.

Zaś kiej się nałożył do syta i brał za lejce, dorzuciła uszczypliwie:

— Zgódź się do Jagusi, ona ci tłuszciej będzie dawała.

— Pewnie, bo, póki tu ona była gospodynią, nikto głodem nie przymierał—zaciął konie batem, wóz wsparł ramieniem i ruszył.

Utrafił ją w słabiznę, ale, nim się zebrała odpowiedzieć, odjechał.

Jaskółki zaświegotały pod strzechą, i stado gołębi opadło z gruchaniem na ganek, a kiej je spędzała, doszedł ją ze sadu jakiś kwik, zlekła się, że świnię pyszcza po cebuli, ale na szczęście to jeno sąsiedzka maciora ryła się pod płot.

— Wsadź jeno ryj, a spyszcz, to już ja cię przyruchtuję.

A ledwie wzięła się znowu do roboty, kiej bociek hycnął na ganek, przyczał się ździebko i, popatrzwszy to jednym, to drugim okiem, jał kuć w bochny, łykając ciasto wielkimi kawałami.

Wypadła na niego z wrzaskiem.

Uciekał z wyciągniętym dziobem, robiąc gwałtownie gardzielem, a kiej go już doganiała, bych zdzielić drewnem, poderwał się i frunął na stodołę i długo tam stał, klekocąc a wycierając dziób o kalenicę.

— Czekaj, złodzieju, jeszcze ja ci kulasy poprzetrącam—groziła, obtaczając na nowo podziurawione bochenki.

Przyleciała Józka, więc na niej wszystko się skrupiło.

— Kaj się to nosisz? Cięgiem ganiasz, jak kot z pęcherzem! Powiem Antkowi, jakaś to robotna! Wygarniaj z pieca, a żywo.

— Byłam jeno u Płoszkowej Kasi. Wszystkie w polu, a chudzinie nawet wody niema kto podać.

— Cóż to jej, chora?

— Pewnikiem ośpica, bo czerwona i rozpalona, kiej ogień.

— A przyniesiesz ze sobą chorobę, to cię dam do szpitala.

— Juści, bom to już przy jednej chorej siadywała! Nie baczycie, jakem to przy was dulczyła, kiejście leżeli w połogu.—I już trajkotała dalej po swojemu, spędzając muchy z ciasta i biorąc się do wygarniania węgla z pieca.

— Trza będzie ludziom ponieść podwieczorek—przerwała Hanka.

— Zaraz poletę. Usmarzyć to jajków Antkowi?

— A usmaż, jeno słoniną nie szafuj.

— Żałujecie to?

— Zaśby. Ale co za tłusto, to może być i Antkowi niezdrowo.

Dzieusze chciało się lecieć, to w mig uwinęła się z robotą i, nim Hanka zalepiła piec, zabrała troje dwojaków z mlekiem, chleby we fartuszek i poleciała.

— Spójrzj ta na płótno, czy wyschło, a z powrotem pomocz, jeszcze do zachodu przeschnie — zawołała oknem, ale Józka już

była za przełazem, jeno piesieczka leciała za nią, i ze żyta mignęła kiej niekiej kono-piasta główina.

Na podorówce pod lasem komornice rozrzucaly gnój, jaki Pietrek dowoził, a przyorywał Antek.

Że zaś ziemia gliniasta, mimo niedawnego zbronowania, była spieczona i twar-da, to skiby łupały się, niby skały, a konie ciągnęły pług z takim wysiłkiem, jaże rwały się postronki.

Antek, jakby wrośnięty w imadła, orał zawzięcie, zapomniawszy o całym świecie, czasem chlastał biczem po końskich portkach, a częściej jeno cmokaniem je przynagłał, gdyż do cna ustawały, robota bowiem była ciężka i znojna, ale kwardą i czujną ręką prowadził pług i rznął skibę za skibą, kładąc posobnie szerokie, proste zagony, boć rola szła pod pszenicę.

Wrony łąziły brózdami, wydziobując gli-sty, zaś gniady źrebiec, szczypiący trawę po miedzy, rwał się raz po raz do klaczy łakomie, sięgając matczynych wymion.

— Co mu się to przypomina, cycoń jeden—mruknął Antek, śmigając go po kulasach, że zadarł ogona i skoczył w bok, on zaś orał dalej cierpliwie, tyle jeno przerywając skwarną cichość, co się ta niekaj ozwał do kobiet, ale tak już był umęczony pracą i spiekotą, że, skoro Pietrek nadjechał, krzyknął w złości:

— Kobiety czekają, a ty wleciesz się, kieby szmaciarz!

— A juści, droga ciężka, i koń ledwie już kulasami rucha.

— A pocóżeś tyła czasu stał pod lasem? Widziałem.

— Możecie obaczyć, piaskiem, kiej kot, nie zagarniam.

— Pyskacz ścierwa. Wio, stare, wio!

Ale konie ustawały coraz barzej, całe już okryte pianą, a i jemu, chocia był rozdzielony do białych portek i koszuli, pot też zalewał twarz, i ręce mdlały od pracy, że, dojrawszy Józkę, zawołał radośnie:—W sam czas przyszaś, a to ostatnią parą dygujemy.

Dociągnął skibę pod bór, konie wyłożył i, rozkielznawszy je, puścił na trawiastą, podleśną drogę, a sam rzucił się w cień na kraju lasu i, kiej wilk zgłodniały, wyjadał z dwojaków, a Józka jęła mu trajkotać nad uszami.

— Ostaw me, nieciekawym twoich nowinek — warknął gniewnie, że odszczeknęła gniewnie i poleciała w las, na jagody.

Bór stał cichy, rozprażony, pachnący i kieby ździebko przymglały w słonecznej ulewie, że jeno niekiedy zaruchały się cichusko zielone podszycia i z głębin buchał ciąg, przejęty żywicą, albo i jakieś pobłąkane głosy i ptasie śpiewania.

Antek rozciągnął się na trawie i kurzył papierosa, ale jakby przez coraz głębszą mgłę widział dziedzica, skaczącego na koniu po podleskich polach, i jakichś ludzi z tykami.

KONIEC TERORU.

2)



Portret Barras'a w kostymie dyrektora.

Do spisku przyłączają się wreszcie najzagorzalsi dwaj przeciwnicy żyrondistów, Amar i Voulant, Carnot zaś, pod wpływem Fouché'go, odbiera demagogicznej Komunii paryskiej najlepszych jej żołnierzy, a mianowicie kanonierów, odsyłając ich do wojska, walczącego na granicach.

Sijas, pomocnik naczelnika Komisyi ruchu armii, donosi o tem Couthonowi. Robespierre czuje, że grunt usuwa mu się z pod nog. Wieści o knowaniach przeciwko „Nieprzedajnemu“, o usunięciu kanonierów przenikają do ludu. Dnia 8 Thermidora tłumy roznamietnione zapelniają galerye konwency. I posłowie, których zwykle bywało na posiedzeniach do stu, stawiają się bardzo licznie.

Robespierre wstępuje na trybunę i rozpoczyna czytać mowę, opracowaną mozolnie, a zawierającą oskarżenie przeciwko „zbrodniarzom, którzy, połączwszy się z szalbierzami, pragną oszukać naród“.

Konwencya słucha go w milczeniu. Wreszcie skończył i schodzi z trybuny. Grzmia gorące oklaski przyjaciół i ludu, zebranego na galeryach, w chwili jednak gdy zajmuje miejsce swoje na ławach Góry, odzywa się na tych ławach pomruk złowieszczy.

Bezładny Couthon stawia ze swego fotelu wniosek, aby mowę Robespierre'a rozesłano do wszystkich gmin Francyi. Wniosek ten przechodzi większością głosów, jednocześnie wszelako Vadier



Jerzy Couthon.

i Cambon, dotknięci mową Robespierre'a, rzucają się do trybuny, zlorzeczając tyranowi.

Zdumiona odwagą ich Konwencya pewna jest, że Robespierre zmiążdży obu śmiałków. Lecz nie! Czy to zmęczony długą mową, czy też również zdumiony atakiem, miesza się, bełkoce, rzuca spojrzem wściekłości ku Górze, odzywającej się wciąż pomrukami nienawiści, powtarza bez końca: „Grożą mi, pragną mej śmierci!“

W tej chwili jeden z sekretarzy Konwencyi, dantonista Dumont, nie mogąc wytrzymać dłużej, woła:

— Żądasz śmierci, zbrodniarzu? Zasłużyłeś już na nią tysiąc razy!

Wykrzyknik ten odbiera Robespierre'owi resztę odwagi. Posłowie Bentabole i Charlier żądają, aby mowę Robespierre'a oddano do przejrzania, przed odesłaniem jej do druku, Komitetom ocalenia i bezpieczeństwa publicznego.

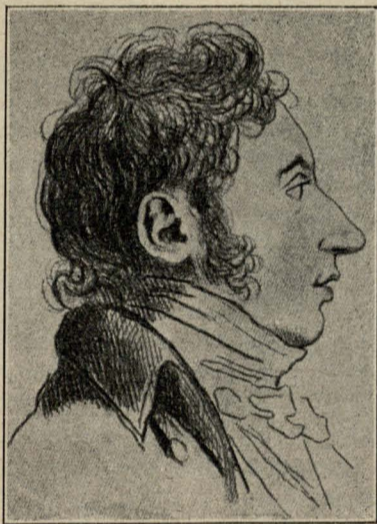
— Ależ ja zaatakowałem Komitety w tej mowie!— woła Robespierre.

— Zaatakowałeś je— odpowiada Charlier— miejże odwagę wymienić tych, których oskarżasz!

— Tak, tak!— wrzeszczy cała Góra.

Konwencya uchwała wniosek Bentabole'a i Charliera.

Kość rzucona! Walka rozpoczęła!



Tallien.

II.

I nastał dzień pamiętny 9 Thermidora (27 czerwca).

Przed godziną 10-tą zaczynają schodzić się posłowie, a schodzą się licznie.

„Dnia 9 Thermidora— pisze Barère w pamiętnikach swoich— Konwencya zebrała się chyba po raz pierwszy niemal w komplecie“.

Robespierre przybywa około wpół do jedenastej, w towarzystwie Didiera, Nicolasa, Gérarda i kilku innych, tworzących straż jego przyboczną.

Otoczony strażą bezpieczeństwa, mija wolnym krokiem podwórze i przestępuje próg domu Duplaya, po raz ostatni.

Gdy wszedł do sali Konwencyi, powitały go oklaski galeryi. Nie spojrzawszy nawet na kolegów z Góry, zwraca oczy ku zwartym szeregom Bagna, poważnym i milczącym. Poczem, dla tem większego zaznaczenia, że zrywa z Górami, staje u stóp trybuny. Stąd zapanuje nad wszystkimi, stąd zażąda głów wrogów swoich!

Uczeń i apostoł jego, Saint-Just, bardziej majestatyczny, niż kiedykolwiek, z głową podniesioną, wargami wyдутymi pogardliwie, wchodzi na



Karykatura z r. 1794.

stopnie trybuny i zaczyna mówić. W tej chwili wchodzi do sali członkowie obu Komitetów. Powitano ich grzmiotem oklasków niezwykłych. Tallien, jakby oczekując tylko tej chwili, zaczyna hardo przerywać mówcy, domagając się energicznie, aby zaniechał dwuznaczników tudzież insynuacji tchórzowskich i przystąpił do oskarżeń bezpośrednich. Dopomaga mu w tem Billaud, nie mniej jednak Saint Just, wspierany przez Robespierre'a, oklaskiwany przez Soubrany'ego i innych Górali, wiernych „Nieprzedajnemu“, kończy mowę swoją.

Natychmiast potem Billaud prosi o głos i, powstrzymując Talliena, który już wchodził na trybunę, przesadza jej stopnie.

Jednocześnie robespierysta Lebas zrywa się do głosu, ale przewodniczący dnia tego, Collot d'Herbois, przyznaje głos Billaudowi. Lebas staje u boku Robespierre'a.

Billaud zarzuca Robespierre'owi moderantyzm, zarzuca mu, że nie jest dosyć rewolucyjny, a przemawia przytem z takim zapalem, z takim ogniem i swadą wyjątkową, nigdy bowiem nie był dobrym mówcą, że Robespierre, dotknięty do żywego, rzuca się ku trybunie. Kilku jednak zastępuje mu drogę, przepuszczając natomiast Talliena, a Góra krzyczy:

— Precz z tyranem! Precz z tyranem!

Napróżno Robespierre miota się, grozi, ryczy z wściekłości. Nic nie pomaga. Musi oto stać bezsilny i słuchać oskarżeń Talliena, nazywającego go Werresem i Katyliną. Nie dość na tem. Tallien żąda uznania ciągłości posiedzeń Konwencyi, co oznacza natychmiastowe odebranie władzy Komitetom ocalenia oraz bezpieczeństwa publicznego, i Konwencya przyjmuje ten wniosek. Żąda na-



Saint-Just.

stępnie aresztowania prezesa Trybunału rewolucyjnego, Dumasa, dalej Boulanguera, Dufraisse'a, całego sztabu jeneralnego i adjutantów, a Delmas wymienia jeszcze dowódcę załogi Paryża, generała Henriota. Konwencja zgadza się i na to, poczem mianuje Aymarda tymczasowym dowódcą załogi paryskiej.

Przez cały ten czas Robespierre nie przestaje domagać się głosu, ale w odpowiedzi słyszy tylko okrzyki: Precz z tyranem!

Przemawiają jeszcze Barère i Vadier, poczem Tallien znów zajmuje miejsce na trybunie. Co mówi—mniej-sza o to, chodzi mu bowiem jedynie o niedopuszczenie Robespierre'a do głosu. Zmęczony Collot d'Herbois ustępuje dzwonka przydyalnego Thuriotowi. Korzysta z tego Robespierre i całą siłą piersi żąda głosu. Nowy jednak prezes dzwoni gwałtownie i woła z wściekłością:

— Nie masz głosu, nie masz głosu!

Na ławach poselskich robespieryści i dantonści wszczynają bójkę.

Robespierre wygraża pięścią wrogom swoim, krzyżąc: Podli, poczem zwraca się do Bagna, którego był pewien.

— Posłowie z prawicy—błaga—ludzie zani, ludzie uczciwi, udziłcie mi głosu, którego odmawiają mi ci zbroje.

Bagno zdrząło, zakołysało się, jak łan zboża pod wpływem wiatru, lecz ani jednym słowem, ani jednym ruchem nie zdradza uczuć swoich.

Wówczas Robespierre blednie. Pot kroplisty występuje mu na czoło. Milczenie majestatyczne Bagna przejmie go strachem, jest pogromem jego i skazaniem. Ale po chwili gniew go ożywia, czerwieni mu twarz, czoło, skronie, usta zaś wybuchają potokiem obelg.

— Prezesie morderców—krzyczy głosem ochryplym do Thuriota—po raz ostatni żądam od ciebie głosu!

— Nie możesz mówić—przerywa mu Garnier—dusi cię krew Dantona!

— Ach, zbroje, więc to Danton...

Dalsze słowa głuszy dzwonek przewodniczącego. Wówczas cofa się, szepcząc:

— Podli! Dlaczegoście go nie bronili!

Louche, Laiseau, Karol Duval żądają postawienia Robespierre'a w stan oskarżenia. Billaud domaga się natychmiastowego aresztowania.

Robespierre jeszcze usiłuje mówić. Thuriot powtarza, dzwoniąc:

— Nie masz głosu, nie masz!

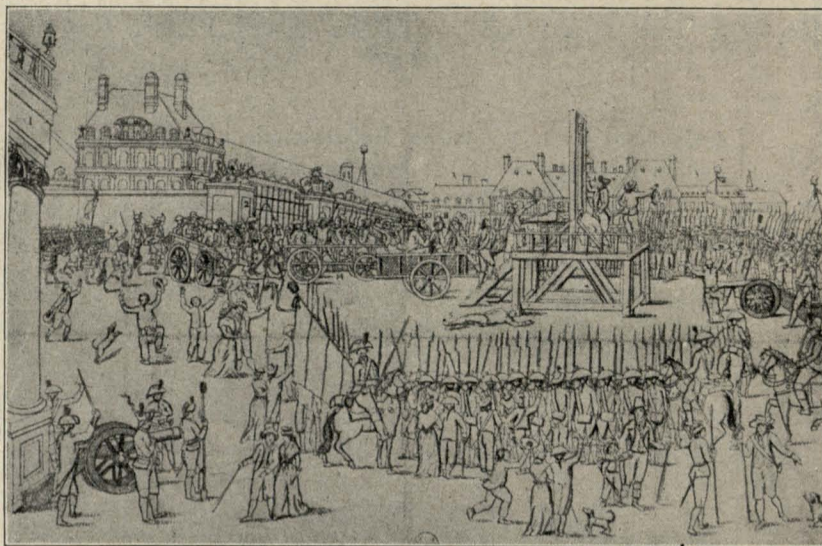
Na okrzyk: Składać głosi!—zrywa się cała Góra, Prawica, Bagno.

Konwencja uchwała aresztowanie Robespierre'a.

Walka skończona.

Konwencja załatwia pośpiesznie resztę czynności. O godzinie 5 po południu niema już w sali nikogo.

Wieść o aresztowaniu „Nieprzedajnego” i jego towarzyszy rozchodzi się lotem błyskawicy po Paryżu, budząc wrzenie wśród Jakobinów. Dowódca załogi paryskiej, szpieg, morderca i pijak Henriot wysłał rozkazy do sekcji Komuny, aby stanęły pod bronią, ściągają wojska do ratusza, rusza konno na przedmieście św. Antoniego dla powołania pod broń robotników, dociera nawet do Robespierre'a i jego towarzyszy, umieszczonych tymczasowo w pawilonie Marsana, tam jednak Dossonville, pierwszy agent Komitetu ocalenia publicznego, każe grenadyrom Konwencji aresztować go wraz z adjutantami.



Stracenie Robespierre'a i innych sprzysiężonych.

Tymczasem rozproszeni członkowie Konwencji zbierają się pod wpływem wypadków ponownie na posiedzenie, mianują Barrasa dowódcą gwardii narodowej w Paryżu i uchwalają jednomyślnie wyjęcie z pod prawa Robespierre'a oraz wszystkich aresztowanych. Energiczna działalność Konwencji zyskuje jej legiony zwolenników. Agitatorzy Komuny przebiegają, co prawda, miasto, wzywając do broni przeciwko „łotrom”, ale i do Konwencji napływają coraz liczniejsze deputacje sekcji, zapewniających ją o wierności. W deputacjach tych znajduje się mnóstwo ludzi, którzy podczas całej rewolucji trzymali się na uboczu. W teatrze Rzeczypospolitej, gdzie grano tego wieczora „Épicharis” i „Nerona” Legouvé'go, publiczność oklaskuje z zapalem wyrazy:

Tremble, tremble, Néron, ton empire est passé...

O północy, po zamknięciu teatrów i innych miejsc rozrywek, cała młodzież, tam uczęszczająca, udaje się w stronę sali posiedzeń Konwencji. Ogłoszony już wszędzie dekret Konwencji o wyjęciu z pod prawa Robespierre'a i jego towarzyszy wywiera wielkie wrażenie. Zewsząd napływają wiadomości pomyślne. O godzinie 2 rano, po gwałtownej burzy, która rozproszyła tłumy uliczne, Legendre podejmuje się w towarzystwie 10 ochotników rozpedzić Klub Jakobinów, dokonując tego istotnie, zamyka Klub i przynosi klucze Konwencji.

O świcie Barras, na czele gwardii narodowej, podąża dwiema kolumnami do ratusza, gdzie dotychczas zasiada rada generalna Komuny. Nikt nie przypuszcza, że Konwencja może zdobyć się na akcję zaczepną. Robespierre i przyjaciele jego



Naród francuski czyli rządy (system) Robespierre'a.

znajdują się w gabinecie zielonym, obok sali posiedzeń rady generalnej. Robespierre podpisuje właśnie odezwę do sekcji Pik, gdy rozlega się wrzawa gwałtowna, i tłum gwardii narodowej zalewa ratusz.

Żandarm Meda podbiega do Robespierre'a, trzymając w jednej ręce szabłę, a w drugiej pistolet, i woła:

— Poddaj się, zdrajco!

— Ty sam jesteś zdrajca—odpowiada Robespierre, podnosząc głowę—każę cię rozstrzelać!

W tej chwili Meda strzela. Robespierre pada z roztrzaskaną przez kulę lewą szczęką dolną. Usłyszawszy strzał, Augustyn Robespierre wyskakuje przez okno, Henriot wymyka się schodami bocznymi, Couthon usiłuje uczynić to samo, ale, podążając o kulach,

potyka się i pada ze schodów, raniąc się ciężko w głowę, Sain Just wymachuje machinalnie sztylblem, a Dumas—flakonem wody melisowej, Lebas zaś wystrzałem z pistoletu odbiera sobie życie. Augustyn Robespierre, wyskoczywszy przez okno, stoi w ciągu paru minut na gzymsie pierwszego piętra, trzymając trzewiki w ręku. Gdy widzi jednak, że członkowie Konwencji wchodzą do ratusza, i słyszy odczytywaną na placu proklamację Konwencji, rzuca się na dół i spada ra bagnetami dwóch obywateli u stóp wielkich schodów wejściowych.

Henriota znaleziono dopiero o 1-ej po południu, ukrytego w maleńkim podwórku ratusza, w otworze kanałowym. Gdy zaś nie chciał opuścić kryjówek dobrowolnie, zmuszono go uderzeniami bagnetów.

Członkowie rady generalnej Komuny, będąc bez broni, nie mogli stawiać oporu. To też kilkunastu aresztowano na miejscu, tych zaś, którzy zbiegli, tropiono z zaciętością straszną po całym Paryżu i wyławiano wszystkich.

Cierpiącego okropnie Robespierre'a przeniesiono do sali przyjęć Komitetu ocalenia publicznego i tam ułożono na wielkim stole, okrytym sukniem zielonym, dając pod głowę, zamiast poduszki, pudełko, napelnione kawałkami spleśniałego chleba.

Bez trzewików, z pończochami opadającymi na stopy, w spodniach rozpiętych, koszuli zakrwawionej i surducie podartym podczas przenosin, nie przypominając w niczym Robespierre'a ufrizonanego i wytwornego, który przed kilkunastu zaledwie godzinami wkraczał dumnie do sali Konwencji.

Ułożony na stole, oddychał ciężko i, wijąc się z bólu, pochycił leżący obok worek skórzany, by obetrzeć nim krew, płynącą z rany. Następnie zaś, oparłszy się na lewym łokciu, ujął prawą ręką dwa małe skrawki papieru i zakleił nimi ranę.

Obecny w sali strażak pewien i kanonier nie przestawali kpić z nieszczęśliwca.

— Sire—mówił jeden—zdaje mi się, że Wasza Królewska Mość cierpi.

— Straciłeś mowę—mówił drugi—nie kończysz wniosku, rozpoczętego tak pięknie. Muszę powiedzieć ci prawdę. Oszukałeś mnie, zbrodniarzu!

Poczciwy „ludek”!

Wkrótce potem przyprowadzono do tej samej sali Saint Justa, Dumasa i Payana, jednego z trzech członków, rządzących Komuną.

Około godziny 5-tej zrana dwóch lekarzy wojskowych, Vergez i Marigues, opatrzyło przewoźnicznie Robespierre'a, przyczem wyjęto mu z rany kilka zębów i kawałków kości.

Po południu stawiono wszystkich aresztowanych po kolei przed Trybunałem rewolucyjnym.

Formalność sądu nie trwała długo, według bowiem uchwał Konwencji ludzie, wyjęci z pod prawa, mieli być traceni tylko po stwierdzeniu osobistości ich przez świadków.

O godzinie 5 tej minut 30 po południu umieszczono 22 skazanych na 4 wózkach. Na ostatnim z nich znajdowali się obaj Robespierre'owie, Couthon, Henriot, Payan i Fleuriot-Lescot (także członek rządu Komuny).

Dozorcy więzienni chcieli położyć ranionych na materacach.

— Nie potrzeba materaców—zawołał jeden z woźniców — drzewo ławeczek wystarczy łajdakom!

Wobec tego pomocnicy kata poprzywiązywali ranionych do drabin wózków, aby nie spadli.

Robespierre opuścił głowę na piersi. Twarz jego spuchła okropnie. Brat jego, Augustyn, drżał

z bólu, jaki sprawiała mu noga złamana. Twarz Henriota tworzyła jedną, straszną ranę. Za całe ubranie miał na sobie koszulę zakrwawioną i spodnie.

„Tak wyglądał—mówi jeden ze współczesnych—oprócz ran na twarzy, jak owej niedzieli wrześnieowej, gdy opuszczał Saint-Firmin, wyrznięwszy wszystkich księży, tam zamkniętych“.

Na ulicach, które toczyły się wózki, stała tłuszcza nieprzeliczona, śpiewając, klaszcząc w dłonie i wołając.

Mniej więcej o godzinie 7 minut 30 zajechano na plac Rewolucji (dzisiejszy plac Zgody) i zatrzymano się u stóp rusztowania, na którym stała gilotyna.

Najpierw poniesiono na stracenie Couthona. Następnie stracono Augustyna Robespierre'a, Henriota, 12 radców miejskich, Viviera i Lavalette'a.

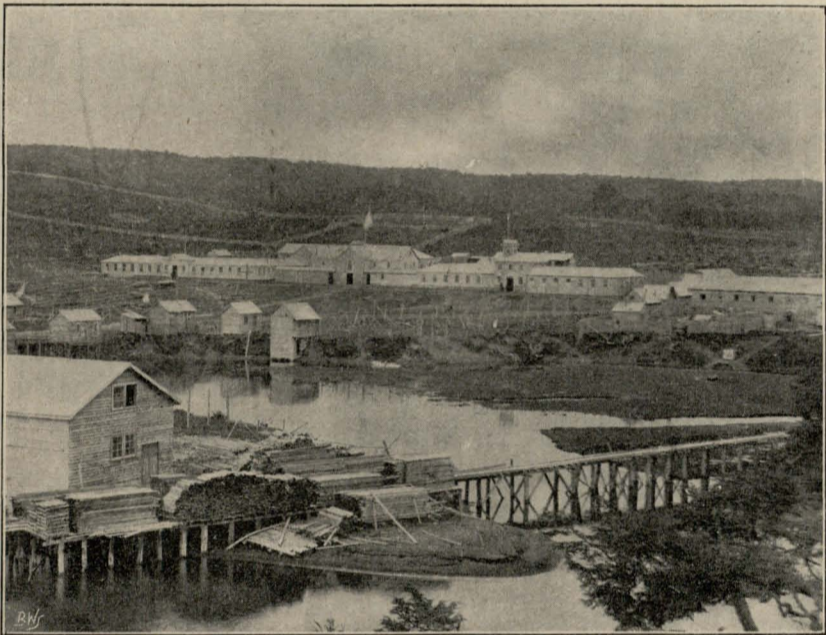
Robespierre'a miano stracić na ostatku, ponieważ jednak osłabł w drodze kilkakrotnie i zemdłał, widząc brata, niesionego na gilotynę, postanowiono stracić go przed Fleuriot-Lescotem, Dumasem i Payanem.

„Przywiązawszy go do deski—pisze Duval—i przed pochYLENIEM jej ku otworowi gilotyny, kat zerwał mu ruchem brutalnym opatrunek z rany. Robespierre ryknął z bólu tak strasznie, że ryk słyszano w najdalszych zakątkach placu“.

A gdy kat pokazał głowę ściętą ludowi, „ludek” ten, którym Robespierre radził rządzić za pomocą rozumu, bił oklaski frenetyczne.

Tak skończył się terror czerwony. I skończył się chyba po to tylko, aby ustąpić miejsca białemu.

A sens moralny?



Wyspa Dawson z misją i szkołą dla Indian oo. Salezjanów wprost Punta Arenas,



Port Punta Arenas, w którym stała przez tydzień na kotwicy eskadra Stanów Zjednoczonych.

Cztery wieki na Oceanie (1520—1908).

WĘDROWIEC POLSKI.

Cieśnina Magellanes i panowanie nad Oceanem Spokojnym.—Tajemnica Oceanu.—Korsarze i awanturnicy.—Pierwsze parowce na Oceanie.—Wyprawy naukowe.—Lord Cochrana i marynarka czilijaska.—Z powodu przybycia eskadry północno-amerykańskiej.

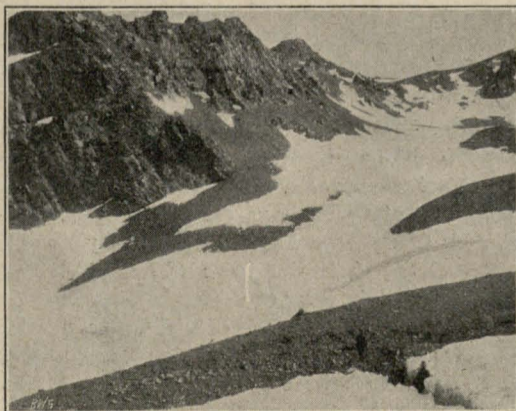
Wyobraźnia ludzka, chociażby najbardziej bujna i twórcza, nigdy nie przechodzi pewnych mniej lub więcej określonych granic, poza którymi nie może niczego dojrzeć, ani nawet przypuścić.

Kiedy śmiały i awanturniczy geniusz natchnął Hernanda Magellanes do odkrycia znanej dziś pod jego imieniem cieśniny, ów doświadczony i dzielny portugalski marynarz nigdy przypuścić nie mógł, że po czterech wiekach tą samą drogą płynąć będzie potężna, a poruszana siłą pary eskadra prawdziwych fortec morskich, z których najmniejsza siłą zaczepną i odporną przewyższa całą flotę ówczesną.

Przy końcu listopada 1520 r. powitał Magellanes z pomostu swojego wątego żaglowca „Victoria” to wielkie południowe morze, na którym nie kołysał się jeszcze żaden okręt europejski.

Wyplłynął na Ocean, nazwał go przez wdzięczność „Spokojnym” i zawładnął nim w imieniu potężnego, a płacącego koszty wyprawy Królestwa. Nie przypu-

szczając czekającego nań nieszczęsnego losu i posłuszny niosącej mu nieśmiertelność wizji, płynął wciąż na zachód. Umarł, podstępnie zamordowany na jednej z dalekich wysp Oceanii, pośród owego olbrzymiego morza, mniej znanego, niż odkryty przez Kolumba świat. Tylko jego sternik, z maleńką garstką załogi dobić zdołał do



Widok Kordylierów w prowincji Anders.

stałego lądu, aby oznajmić ludziom, że kula ziemską okrążona została.

W pierwszych dniach lutego r. b., t. j. 388 lat później, przepływa tę samą cieśninę eskadra, złożona z 16-tu pancerników, kilkunastu torpedowców i pomocniczych okrętów, a cały świat z podziwem patrzy na mobilizację owej olbrzymiej morskiej siły wojennej, będącej dowodem żywotności i bogactwa północnej Rzeczypospolitej, która nie była nawet kolonią wówczas, kiedy Hernando Magellanes przepływał Atlantyk w poszukiwaniu ujścia dla zachodniej geograficznej szerokości.

Między temi dwiema datami istnieje w historii przestrzeń, która nie jest pusta, bo kula ziemską podczas owego czasu zdołała okręcić się około swej osi 140 tysięcy razy, ludzie się zmienili, i świat się zmienił!... Odkryty, zajęty i skolonizowany ląd jest dzisiaj własnością szeregu młodych narodów, na czele których stoi najbardziej pod względem politycznym ciekawa wielka Rzeczpospolita północna.

Umiejemy słuchać go opowie Ocean, jak Sir Franciszek Drake na pokładzie małego żaglowca opłynął cały zachodni brzeg południowej Ameryki, jak zrabował Valparaiso i zagarnął naładowane skarbami barki Jej Kr. M. Christianissimy. Opowie im również o Cavendish'u, który, zachęcony powodzeniem Drake'a, wynajął kilka

korsarskich okrętów i powtórzył szereg grabieży swego mistrza. Tomasz Cavedish, zrujnowany zbytkownym życiem dworskim, po wyprawie swojej wrócił do Anglii, będąc znów w możności otoczyć się prawdziwie książęcym przepychem. I powie im o Hawkinsie, dzikim, lecz szlachetnym piracie, którego pchnęła na dalekie morza jedynie przysięga zemsty za śmierć ojca.

Postrach i grozę nieśli ci ludzie mieszkańcom tutejszego kraju, będącego wówczas kolonią Hiszpanii, a i dzisiaj, po tylu latach, pozostają oni prawdziwymi duchami przeszłości, walczącymi na wątych barokach swoich z potęgą Oceanu.

Po Hawkinsie, ostatnim z angielskich piratów XVI-go wieku, pojawia się brzegach czilijskich cała horda Holenderczyków, bitnych żołnierzy, ale bardziej jeszcze odważnych marynarzy, którzy, począwszy od Jakóba Mahu (1599 r.) i kończąc na Henryku Browe (1642 r.), plondrują i niszczą posiadłości królów Hiszpanii. Byli oni gorsi od innych, i tradycja zachowuje o nich prawdziwie straszne wspomnienia. Należy jednak zauważyć, że wspomniani Holenderczycy nie byli zwykłymi korsarzami lub awanturnikami, ale wybranymi przez swoich książąt marynarzami, płatnymi w celu odebrania Filipom ich bogatych kolonii, i że przeto nie pociągała ich tu jedynie żądza amerykańskiego złota, lecz również pragnienie zemsty za tyranię Hiszpanów we Flandryi. Nie zawsze sprzyjało im szczęście: często krzyżował im plany Ocean, innym razem—śmierć.

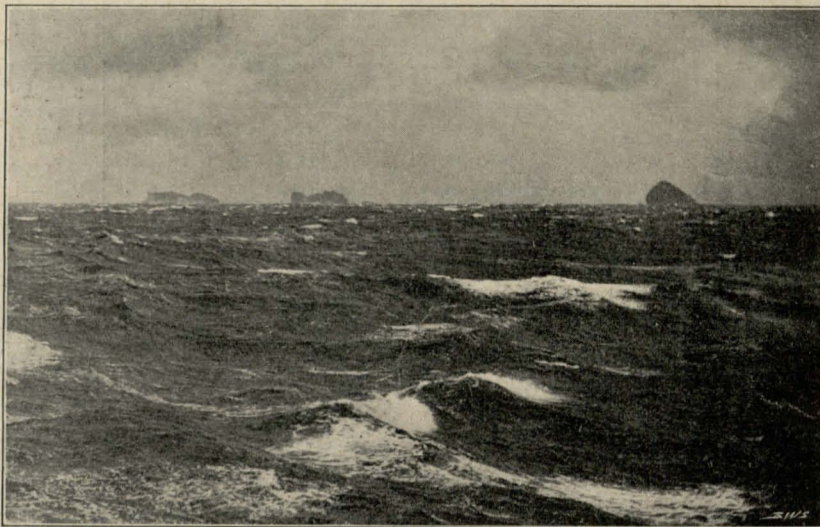
Jednych z połowy drogi zmuszały do powrotu burze morskie, inni, straciwszy okręty, ratowali życie. Ale dzieło zemsty w znacznej części dokonane zostało, a okryte grozą imiona Jerzego Spilbergen i Henryka Brower przechowuje tradycja, historia i literatura. Jakób L'Heremite, nie dokonawszy niczego, umarł na pełnym morzu, natomiast Wilhelm Schouten, poszukując wschodniego ujścia cieśniny, okrążył na samym południu stały ląd i, radawszy odkrytą przez siebie przylądkowi imię rodzinnego miasta swego Horn, wypłynął na Ocean Spokojny.

Przybywają następnie z północy tak zwani „żeglarze” („Bucaneros”). Niczem nie różnią się oni od piratów XVI-go wieku lub korsarzy XVII-go. Rabują i niszczą Panamę, mordują i popełniają tysiące zbrodni. Straszny Morgan nie oszczędza nawet kobiet i dzieci. Jeden z jego okrętów, „Santisima Trinidad”, płynie na południe. Dowodzi nim krwawej pamięci Sharps. Grabí, pali, ścina i nareszcie zmęczony wraca przez cieśninę, aby przy wyspach Antylskich połączyć się z towarzyszami awantur i zbrodni.

Straszne to były czasy!... Kończył się wiek XVII-ty, wiek wojny i barbarzyństwa. Międzynarodowa zazdrość podburzała jedne ludy przeciw drugim. Żądza władzy utrzymywała w ciągłym naprężeniu wszystkie europejskie państwa. Wojny o dziedzictwo tronów, walka dynastji, zazdrość, intrygi, pycha i tysiące wrogich namiętności krwawiły ziemię, wstrząsając życiem narodów. Ameryka stawiała swoje pierwsze kroki, była faktoryą, kolonią, krainą podboju, rynkiem niewolników i kątem świata, fatalnie sprzyjającym instynktom dzikości. Nadejdzie dzień, w którym wyjaśnione zostaną wszystkie morskie legendy i tajemnice, będące niewyczerpanym źródłem poezji, a wówczas powstanie prawdziwa historia Oceanu.

Ze smutnej pamięci korsarzem Wilhelmem Dampierem płynął Selekirk, ów pustelnik z wyspy Jana Fernandez, a następnie znany światu całemu, jako Robinson Crusoe. Na wyspie Santa Maria, przeciw południowego czilijskiego portu Arauco, niedawno znaleziono szczątki starożytnych okrętów i szkielety ludzkie. Gdyby ci ludzie ożyć mogli, niezawodnie opowiedzieliby nam ciekawie rzeczy, o których nikt i nic nie wie.

Sławni francuscy Burboni również marzyli o zdobyciu zachodnich brzegów południowej Ameryki. Francuska wyprawa morska była do naszych czasów największą ze wszystkich, pragnących panowania nad Oceanem Spokojnym. Przy końcu 1713 r. dwadzieścia dużych francuskich okrętów, lękając się zapewne przepłynąć cieśninę Magellanes, okrążyły przylądek Horn. Całą jed-



Skały Ewangelistów w cieśninie Magellanes.

nak ową wielką flotę rozbiły burze i pochłonił gniewny Ocean, a wieści o tem przyniósł tylko czas.

Po Dampier'ze (1703 r.) Anglicy znów zapragnęli panować nad południową częścią Oceanu. W 1719 r. Jan Clipperton, a później sławny admirał Lord Anson płynąć począł na czele ośmiu okrętów ku portom czilijskim. W ślad za angielską dążyła flota hiszpańska w celu zagrodzenia jej drogi, ale w bliskości przylądka Horn obie padły ofiarą straszego huraganu, który z pomocą podwodnych skał zniszczył je całkiem (1741 r.). Potęgi wszystkich narodów malały i nikły w groźnej cieśninie. Brakowało jednego stulecia, aby na karcie historii zapisana była swoboda kolonii, i bez wątpienia żądni podboju zdobywcy nie przypuszczali nawet, że owe kraje, o które z taką zaciekłością walczyli, oswobodzą się same.

Przeplływają następnie cieśninę handlowe okręty półwyspu Pirenejskiego, które wzmian za swoje towary zabierają z bogatych czilijskich i peruańskich kopalni złota, srebro i miedź.

Po erze bandytów morskich nastają czasy handlowego monopolu Hiszpanii i kontrabandy, jako jego naturalnego skutku. Podczas kiedy namiestnicy i gubernatorzy Ich Kr. M. marzą o kolonialnych reformach, tysiące okrętów różnych narodów przepływa cieśninę lub okrąża przylądek, aby zamieniać wyroby przemysłu na drogocenny kruszec. Ostatni wiozący kontrabandę, a znany w historii żaglowiec „Scorpion” pochwycony i skonfiskowany został w porcie czilijskim przez ówczesnego hiszpańskiego gubernatora. Kapitana okrętu, Tristana Bunker, podstępnie zwabiono na ląd i zdradziecko zamordowano z rozkazu jego ekscelency Franciszka Garcia, a znalezione na pokładzie towary oceniono na 600 tysięcy piastów.

W październiku 1840 r. przepływają cieśninę Magellanes dwa pierwsze parowce: „Chile” i „Peru”. Dowodzi nimi dzielny północno-amerykanin Wheelright, któremu wdzięczny naród czilijski wystawił wspaniałą pomnik. Jeden z powyższych parowców, po długich latach służby morskiej, zatonął w porcie Valparaiso, drugi został pontonem w zatoce Guayaquil.

Nastają inne czasy: skończył się brutalny monopol Hiszpanii, awanturnicy przeszli do legend, a korsarzami straszono tylko płaczące dzieci...

Na początku zeszłego stulecia, podczas pamiętnej wojny o niepodległość południowo-amerykańskich narodów, ujrzał szumiący przy brzegach czilijskich Ocean odwagę, walkę i sławę rodzącej się marynarki tutejszej. Lord Cochrane, ów Nelson Oceanu Spokojnego, odniósłszy na czele niewielkiej eskadry szereg bohaterkich zwycięstw, zmusił do ucieczki wojenną flotę Hiszpanii.

Dodać wreszcie należy, że jeszcze za czasów korsarskich pojawiły się przy zachodnich brzegach południowej Ameryki wyprawy naukowe, którym zawdzięczamy dokładne określenie granic lądu, zbadanie prądów morskich i odkrycie licznych wysp.

Począwszy od Feuillé i Frezier, liczni podróżnicy, geografowie, naturaliści i geologowie przepływali cieśninę w celu zdobycia ciekawych, a nieznanych naukowych wiadomości. Niezawsze bywali szczęśliwi w swoich wyprawach.

Piękna angielska fregata „Challenger” zatonęła w bliskości portu Arauco w 1835 r., a okręt „Oriental” rozbił się o skałę przy wejściu do portu Valparaiso w 1840 r.

Dzisiaj, aby poznać dokładną cyfrę parowych i żaglowych okrętów, prujących corocznie fale Oceanu Spokojnego, należałoby zwrócić się do Lloydu, bo krzyżuje się codziennie w cieśninie Magellanes kilka lub kilkanaście okrętów, z flagami różnych narodów. Owi posłańcy wszechświatowego przemysłu i handlu witają się po przyjacielsku, a głosy ich syren dźwięczą na falach, niby hymn postępu i cywilizacji.

Płynąca obecnie na Oceanie wielka eskadra Stanów Zjednoczonych, będąca symbolem siły i władzy, podobna jest do obnażonego ramienia atlety, który pod naprężoną skórą wskazuje potężne kości i mięśnie. Niezbędem było nadejście wieku

XX-go, aby uczyniło to jedno z państw, bez wzbudzenia zazdrości i trwogi u innych. A może przeciwnie, znów powtórzy się odwieczne współzawodnictwo?...

Inne byłoby usposobienie tutejszych mieszkańców, gdyby okrętowe armaty, zamiast radosnych salw powitania, przesyłały śmiertelne pociski. Nie patrzono by wówczas z podziwem na długi sznur pancerników i nie witanoby ich z takim samym zapałem, jak w 1840 roku pierwsze przybyłe parowce.

Santiago de Chile.

MICHAŁ CHMYZOWSKI.



RUDOLF BAUMBACH.

ZA PÓŹNO URODZONY.

Wiem, że gniewa to pieszczoszkę,
Lecz com winien: na ten świat
Jam się tylko spóźnił troszkę —
Coś o pół tysiąca lat!

K'twej miłości, bez obłudy
Rad przygody-m wszystkie znieść:
Karły, smoki, wielkoludy —
Jam tłum gotów na twą cześć!

Lecz przewracać tobie nuty,
Gdy do śpiewu czujesz chęć...
Plon sprawunków dźwigać suty
— Tego mi, jedyna, szczedź!

Byłoby mi bagatelką
Saraceny rąbać wkrąg —
Lecz ofiara zbyt jest wielką,
Gdy nić zwijasz z moich rąk.

Maurów księcia z pośród kroci
Wziąłbym w jassy, na twój gest,
Ale pieścić mopsa cioci
— To nad moje siły jest!

Do Golkondy skarbów prowadź —
A zdobędzie je mój miecz!
Lecz po sklepach je kupować
— Zgoła nie rycerska rzecz!

Kupca, coby wiózł ładunek,
Bez litości mógłbym strzydz...
Lecz, bym płacił miał rachunek
Twjej modniarki — z tego nic!

przeł. WŁ. NAWROCKI.

KONRAD PRÓSZYŃSKI

(KAZIMIERZ PROMYK).

I znowu świeża mogiła! Mogiła, chroniąca szczątki śmiertelne człowieka wielkich dla narodu polskiego czynów obywatelskich.

Ze śmiercią ś. p. Konrada Prószyńskiego ubywa nam nie jeden z tych, co tylko za hasło biorą przez lud do narodu, ale ubył nam olbrzymiej miary działacz oświatowy, który szedł w lud, ten lud najpierw uczył czytać, a później oświecał go i uobywatał.

Istnieje wiele partyi politycznych na terytorium ziem polskich, mamy dziesiątki stowarzyszeń oświatowych, a jednak odważę się powiedzieć, że sam jeden Kazimierz Promyk rezultaty swej pracy mógł mierzyć ze wszystkimi temi organizacjami razem wziętymi!



Prószyński rozpoczął nadto akcję swoją w najtrudniejszych warunkach, jakie najmłodsze pokolenie dziś zaledwie wyobrazić sobie może. Była to epoka najsilniejszych represji popowstaniowych, kiedy Promyk bez żadnej prawie z czyjejkolwiek pomocy postanowił cały oddać się pracy dla ludu.

Układać więc począł nie tylko najlepsze elementarze, jakie istnieją na świecie, przez Promyka opracowane, zupełnie oryginalnie i odrębne od wszystkich dotąd w Europie istniejących; ale Prószyńskiemu zamarzyło się stworzyć nową formą, układem i treścią organ tygodniowy do czytania dla ludu.

Wobec istniejących ograniczeń dla prasy, zwłaszcza tańszej, obliczanej na masy, sama myśl

założenia słynnej następnie *Gazety Świątecznej* wydawać się była powinna pomysłem szalonym.

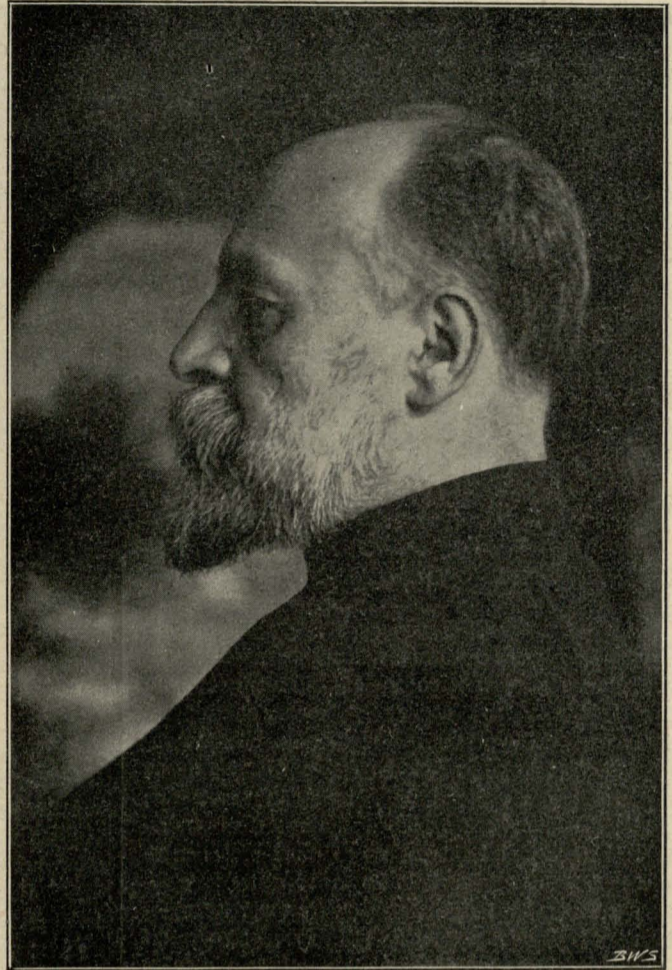
Ale Prószyński nie darmo rodził się na Litwie, a szkołę wytrwałości odbywał na Syberji, dzieląc losy wygnańcze swojej rodziny. Dzielność niespożyta pielęgnowała w sobie ta majestatyczna postać dostojnego działacza. Hart ducha Kazimierza Promyka nie znał przeszkód, owszem, przeciwności zaprawiały go do tem większej energii czynu! Tym przymiotem niezwykłym Prószyński zawdzięczał wszystkie swoje wielkie czyny narodowe.

Skryty, zamknięty w sobie, Promyk niechętnie dawał ujście tajemkom swoich targań duchowych dawno przeżytych. Przed dwoma laty przypadł jednak jubileusz 25-cioletniego istnienia *Gazety Świątecznej*, a Promyk, do głębi wzruszony objawami uznania ze wszystkich stron ziemi polskiej, mimo już zaczątków choroby, a w skutek tego znacznego przygnębienia, przez kilka godzin chętnie opowiadał mi całą historję swojego życia i prac swoich.

Prószyński odmałował mi pasmo ciężkich doświadczeń życiowych, jakich doznawał od lat najmłodszych, dziecięcych prawie. Najpierw okres wygnania na Syberji, a stąd przeszkoda w otrzymaniu patentów szkolnych, dających prawo wstępu do uniwersytetu w charakterze studenta rzeczywistego, skąd Prószyński ograniczyć się musiał w Warszawie do roli samouka, od którego stronili akademicy, jako od nauczyciela ideologicznego, a może nawet mistyka. Później liczne zawody duchowe, nie doprowadzające go do celów, o których snił od młodości. Tu znów następują wahania jego w obraniu dalszej drogi życia, przychodzi wreszcie zagranicą moment, kiedy Prószyński chce rzucić wszelkie plany i zamknąć się w klasztorze w habicie zakonnym. Ale przed czasem wraca mu dawna myśl szerzenia oświaty ludowej w kraju, przyjeżdża więc znów do Warszawy, składa „maturę“, zapisuje się na uniwersytet, a później, poprzedzwszy działalność swoją redaktorską akcją edytorską w zakresie opracowywanych przez siebie broszur popularnych i książeczek do nauki czytania, w r. 1881 przystępuje do ogłoszenia drukiem *Gazety Świątecznej*.

Ale rozpoczęcie tego wydawnictwa nie było rzeczą łatwą.

„Nie sposób odmałować tych wszystkich trudności — mówił mi Prószyński — jakie wiązały się z otwarciem *Gazety*. Zdobycie koncesyi stawało się czemś niemożliwym. Ostatnie pisma ludowe w Warszawie: *Kmiatek*, a później *Zorza* (Grajnerta) i *Opiekun Domowy*, wygasły.



KONRAD PRÓSZYŃSKI.
Według fotografii Ł. Dobrzańskiego.

Nie opłacały się i upadły; nowych pozwoleń wydawać nie chciano. Na prośby odpowiadano odmownie. Koncesję na *Gazetę* nie na swoje, ale na imię lektora języka angielskiego, otrzymałem ledwie w roku 1880. Pierwszy numer — ciągnął dalej Promyk — wyszedł w roku 1881, od razu z dość licznym zastępem prenumeratorów. Po wydaniu „zapowiedzi“ znalazłem 2,500 przedpłaćcieli. A zastęp ten stale później się zwiększał, dochodził w latach następnych do 30 tysięcy odbiorców“...

Są to jednak tylko cyfry. Dość było pojechać na wieś i pomówić z ludem, aby dowiedzieć się, z jakim pietyzmem brano do ręki *Gazetę* Promyka, jaką aureolą otaczano „Pisarza *Gazety Świątecznej*!“

Nikt z równą prostotą stylu i wyrażeni nie umiał przemawiać w Polsce do ludu, co Prószyński. Nikt wśród ludu nie miał nigdy równego kredytu, co „Pisarz *Gazety Świątecznej*!“

I trudno pomyśleć, że odtąd zabraknie krajowi Kazimierza Promyka! Naród nasz ponosi niełatwo powetowaną krzywdę przez zgon Prószyńskiego. Ten działacz wielkiej miary i olbrzymich dla Polski zasług długo wspomniany będzie pod strzechami wiejskimi.

Umarł w sile wieku, przeżywszy zaledwie lat 57. Mógł długo jeszcze pracować dla kraju naszego!

Lud z całym narodem polskim boleje dziś nad wielką stratą, jakiej doznał przez zgon Promyka. Ale równocześnie z żalem rodzi się chęć należnego uczczenia pamięci K. Promyka.

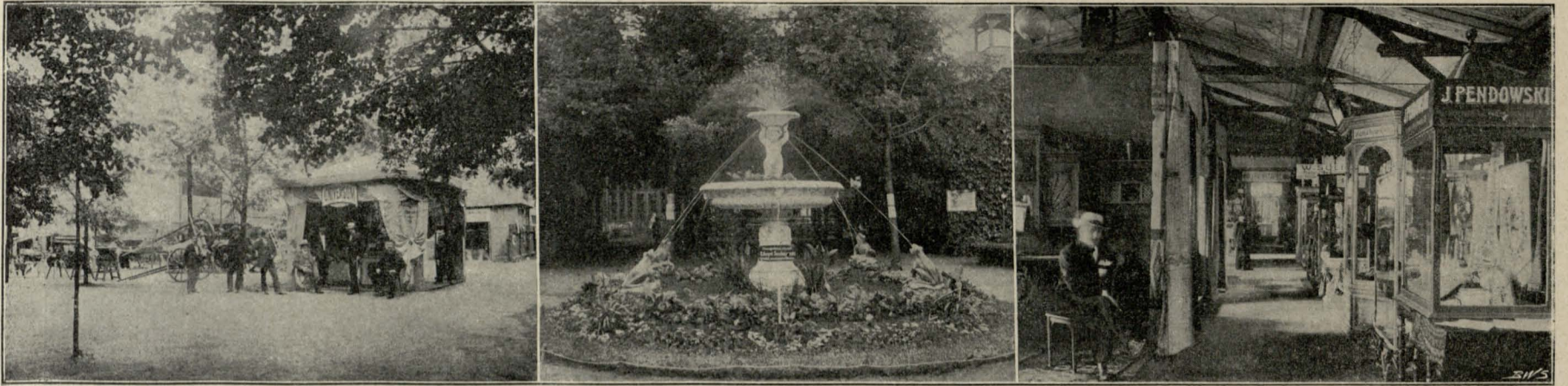
Powstała myśl poparcia stowarzyszenia dla szerzenia łatwego sposobu nauki czytania i pisania systemem obrazowym, wynalezionym przez Promyka. Stowarzyszenie to było ulubioną ideą Prószyńskiego do ostatnich chwil życia tego społecznego działacza polskiego.

Przez towarzystwo imienia Promyka uczcijmy więc Jego wielkie zasługi, niosąc pomoc materialną ku należnemu rozwinięciu tej instytucji!

ST. GORSKI.



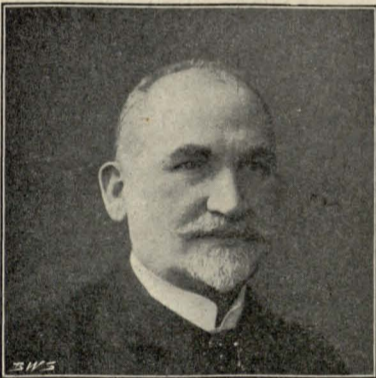
Z POGRZEBU K. PRÓSZYŃSKIEGO.



WYSTAWA PRZEMYSŁOWA W POZNANIU.

Wystawa przemysłowa w Poznaniu.

Niespodziewanem powodzeniem i uznaniem cieszy się skromna wystawa w Poznaniu, której nieme otwarcie (z powodu § 12 nowej ustawy językowej, zakazującej publicznych polskich przemówień) nastąpiło 28 czerwca. W ogrodzie „na wzgórzu św. Łazarza”, zwanym także Psią górką (po niemiecku Wilhelmshöhe), nabytym przed kilkoma laty przez spółkę teatralną celem zbudowania tam teatryku letniego, na co rząd pruski naturalnie nie pozwala, zgromadziło 20 towarzystw przemysłowych z Poznania i najbliższej okolicy wyroby rękodzielnicze, fabrykaty i przetwory 113 wystawców w takiej liczbie i doskonałości, że budzą podziw nie tylko swoich, ale i Niemców, oraz obcych, zwiedzających wystawę. Dowodem to, że stan średni, mimo ciężkie, coraz boleśniejsze ciosy, mimo z zaciekłością przeprowadza ny bojkot niemiecki, nie upada, owszem, organizuje się, wzrasta i rokuje najlepsze nadzieje na przyszłość, rugując osiadłych od wieków w polskich dzielnicach Niemców i Żydów.



Prof. dr. ANTONI DRYGAS, prezes „Starego Przemysłu”, kierownik wystawy przemysłowej w Poznaniu.

Główną to za s t u g ą Tow. Przemysłowego, które równocześnie obchodziło 60-letni jubileusz swego założenia, i dzielnego, wytrwałego jego prezesa, prof. Antoniego Drygasa. W ciężkich warunkach podjął on hasło Libelta i Marcinkowskiego, nie zrażał się przeciwnościami i, pół wieku swego życia

w dzieło upatrzono włożywszy, widzi dzisiaj trud swój sowicie nagrodzony. Wysoce muzykalny, wróciwszy z wygnania do południowych Niemiec, dokąd zagnała go walka kulturalna, założył w Poznaniu skład fortepianów. Składa je jego syn, w obcej coprawda fabryce, bo na obszarze ziem polskich, niestety, polskiej fabryki fortepianów nie mamy. Byłby to dla niego i jego pracy tryumf niemały, gdyby udało się założyć pierwszą w Poznaniu.

Z „Przewodnika po wystawie przemysłowej”, starannie ułożonego przez wiceprezesa „Starego Przemysłu”, p. M. Powidzkiego, przekonywamy się najlepiej o stanie naszego rzemiosła i kupiectwa. Na pierwszy plan wysuwa się cukiernictwo, siodlarstwo, krawiectwo, stolarstwo, kamieniarstwo, blacharstwo, wyrób mebli, powozów, bielizny, chemikalii i nawozów sztucznych, pasów, przyrządów miedzianych i mosiężnych, musztardy i przetworów owocowych, kartonów, czapek i „Maciejówek”, godnie wreszcie reprezentowana jest fabryka maszyn i narzędzi rolniczych H. Cegielskiego i Ski, bogaty dział litograficzny, fotografia oraz jedyna pracownia polska przezroczy fotograficznych (B. Śniegocki).

Z „Pamiętnika jubileuszowego Towarzystwa Przemysłowego w Poznaniu”, zawierającego na wstępie plody

pióra 91 literatów wielkopolskich, dowiadujemy się o mrówczej, bogatej w plony pracy „Starego Przemysłu”, którego jubileusz tą właśnie wystawą uwieńczony został.

T. J.

45 lat na Syberji.

Powrócili nareszcie po 45 latach smutku i niedoli, by odetchnąć pod koniec żywota powietrzem swoich pól, lasów i złożyć swe kości w rodzinnej ziemi.

Co przeszli, ile nacierpieli się fizycznie i moralnie, słów braknie, by to opowiedzieć.

Powrócilo ich znowu czterech dzięki ofiarom ludzi dobrej woli, którzy przyjęli ich gościnnie pod swą strzechę na resztę skołatanego żywota.

Zastałem ich w hotelu Wiedeńskim, gdzie znaleźli dwudniową gościnę, opowiadających swe dzieje dawnemu towarzyszowi niedoli, Sybirakowi, p. Władysławowi Paciorkowskiemu, który po dwunastu latach zesłania w 1871 r. powrócił już do kraju.

P. Cypryan Małewski, Warszawianin, mówił, że w chwili, gdy wjeżdżali w mury Warszawy, dech w piersiach im zaparło i mieli wrażenie, jakby się po raz drugi narodzili. Opowiadał, że przez pięć lat byli pod nadzorem policyjnym, nie wolno im było oddalać się więcej, jakna trzy wiorsty od wioski, gdzie ich internowano, a chłopci miejscowi, mający nad nimi nadzór, bardzo im dokuczali i często głodzili. Te pierwsze lata były najcięższe. Potem jeden z nich jął się szewstwa, drugi — rymarki, inny, skończony lekarz, był pomocnikiem felczera przy szpitalu, aż po latach został sam wreszcie lekarzem powiatowym. Zesłano ich razem 40; kilku z nich zaledwie miało większe zasoby, którymi, jak bracia, dzielili się z biedniejszymi. Nazwiska trzech innych są: Kazimierz Chmielewski, Warszawianin, Franciszek Grygajtis, Żmudzjin, nie mówiący słowa po polsku, i Maurycy Klarfeld z gub. kijowskiej.

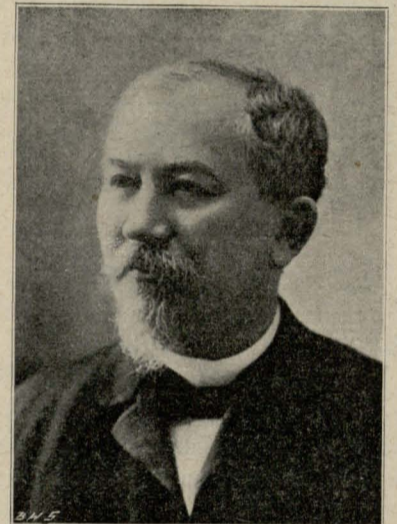
Z głębi serca życzymy naszym nieszczęsnym rodakom, by choć teraz zakosztowali spokoju i ciepła rodzinnego, którego przez tyle lat byli pozbawieni. ł.

Studjum czeskie o Słowackim

Z pomiędzy „konsulów polskich” największe umiłowanie *wielkiej* poezji polskiej okazał Franciszek Kvpil. Pokochał jednak nie tylko poezję, ale i jej twórców, a wszystkich równem sercem. Każdy był dlań uzupełnieniem dwu innych, a wszyscy razem stanowią dlań jedność, trzema wyrażoną imionami: Adam - Juliusz - Zygmunt.

Kiedy malował „Żeny a milenky slovanskych básniki”, z równem zajęciem poznawał przymioty

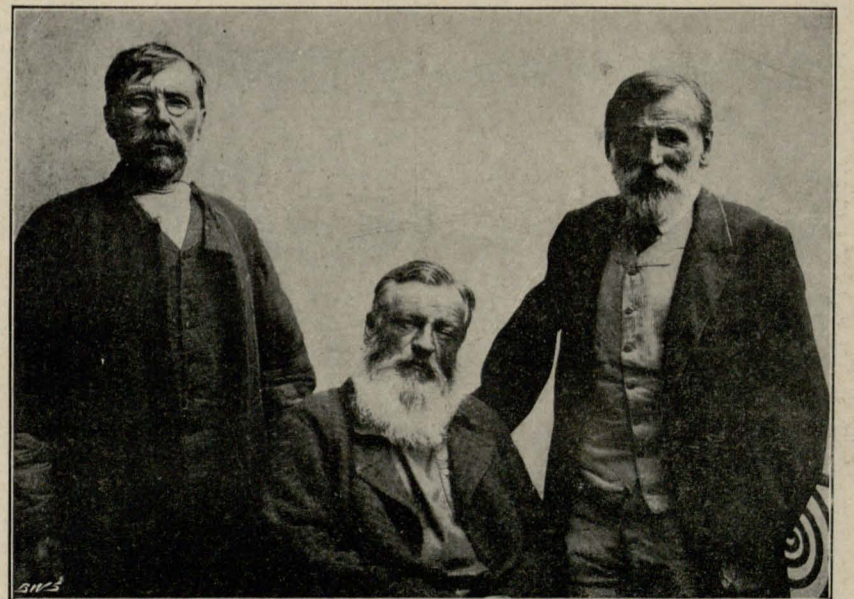
Maryli, jak Kory i Delfiny Potockiej. Jeśliby sądzić z przekładów, musielibyśmy przecież największą siłę przyznać poezji *filozoficznej* Asnyka i Krasieńskiego. Zygmuntowe drobne utwory, jego „Nieboską” i „Irydyona” oraz dwa zbiory utworów asnykowskich, przyswoił piśmiennictwu czeskiemu. Mickiewicz pociągnął go ku sobie ideą miłości i poświęcenia się heroicznego w bohaterach swoich, i ten oddźwięk słyszymy, czytając



FRANCISZEK KVAPIL.

kvpilową, niezmiernie sympatyczną książeczkę „Životem k ideálu” („Przez życie do ideału”). Niewiasty poetyckie Mickiewicza dały mu zachętę do rozprawki „Bohaterki poezji polskiej”.

Najmniej śmiałości w tłumaczeniu okazał nasz „konsul” wobec Słowackiego. A przecież sam jest poetą cenionym. Jego „Zaváté stopy” i „Zpěvy knižeci” (Śpiewy książęce), nagrodą Akademii odznaczone, stały go niezbyt daleko od Vrchlickiego. W r. 1905 wydany zbiór wierszy „Když kvetly máky”, choć wy-



„PO 45 LATACH NA SYBERJI POWRÓCILI DO OJCZYZNY”.

Z PRAGI CZESKIEJ.



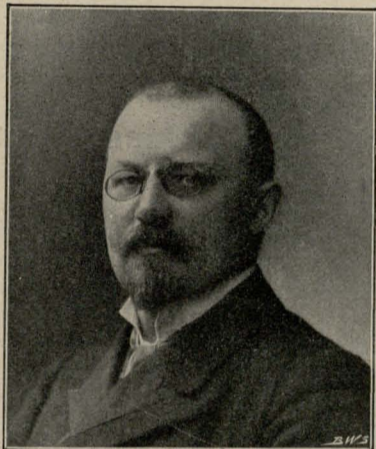
Dr. Antoni Štych, I zastępca burmistrza m. Pragi.



Dr. Karol Groš, burmistrz m. Pragi.



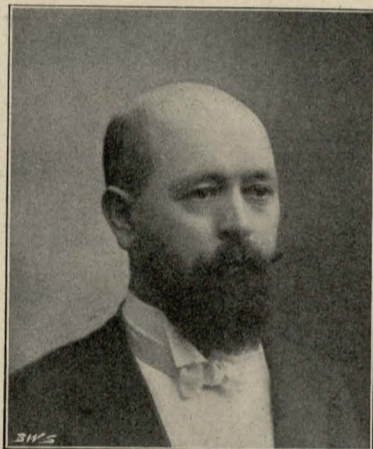
Józef Jirousek, II zastępca burmistrza m. Pragi.



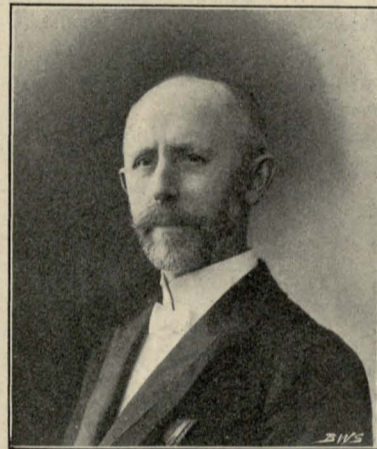
Ladislav Čech, poseł do Rady Państwa, prezes wieców kupieckich polsko-czeskich.



Artur Haübler, prezydent Stow. „Merkur”.



Józef Urban, radca komercyjny, sekretarz Stow. „Merkur”.



Em. Pláček, przewodniczący kongregacji kupieckiej.

płynął z duszy półwiekowego męża, tchnie młodością, kwietniową. I mimo to przed Słowackim stoi z mniejszą śmiałością, niż przed twórcą „Farysa” albo śpiewakiem „Przedświtu”. Powiada, że Słowackiego z nowym zajęciem czyta, że Słowackiego jeszcze studyjuje, bo on najbardziej z polskich pieśniarzy dzisiejszy, a nasz „konsul” więcej się przejął dawniejszymi.

Zna Kvpil spuściznę Słowackiego doskonale. W rozmowie z Polakiem przytacza długie ustępy tego mistrza. Nie obce są dlań wpływy pieśni juliuszowej na pokolenie apollinowe młodsze. Umie wskazać nić, łączącą Asnyka lub Ujejskiego z twórcą „Króla Ducha”, odczuje nawet pogłos poezji Słowackiego w „młodej Polsce”, Langem, Niemojewskim czy Miriamie, Tetmajerze i Wyspiańskim. A jednak go nie tłómaczy, choć śmiemy nie wątpić, że i poezję Juliusza rychno „konsul polski” uprzystępni narodowi czeskiemu. Wrywki przygodne dają zachętę, a studium, acz treściwe, daje rękomię, że ze Słowackim już się dobrze autor „Śpiewów książęcych” zaprzyjaźnił.

Sąd Kvpila o Słowackim *) podwójnie nas zajmuje. Mówi Czech o niezwykłym mistrzu słowa polskiego, mówi poeta o poecie. „Nazwał bych Julia Słowackého básníkem touhy (tęsknoty) a smutku” — zaczyna Kvpil swe zdanie. Wyczuwa w jego poezji tęsknotę za krajami snów, za światami wymarzonymi, w których głosy aniołów się rozlewają z barwami. Z poezji jego wdycha smutek, którym przepoił wieszcz swe skargi, że zawsze i wszędzie był sam i nigdzie nie mógł znaleźć uznania i zrozumienia.

„ A přece bych zas nazval Słowackého básníkem revolty, básníkem bouřičiho se, revolučního ducha lidského” — powiada autor dalej i uważa twórcę „Króla Ducha” za orła, który rozcinał mroki skrzydłem potęż-

nem, by wlecieć tam, „gdzie jaśniało i gorzało słońce ideału”.

Porównanie i zestawienie Adama z Juliuszem samo przez się nasunęło się poecie. Czyni je kilkakrotnie. Konrad-Kordyan! Konrad jest „gigantyczniejszy myślą, skupieniem sił, walką duchową; Kordyan znowu swoją chorobliwością i uczuciowością, swym zapałem bez sił dostatecznych, swym heroizmem jest więcej ludzki i bliższy prawdzie”. Ogólnie zaś wyrokuje, to Mickiewicz wcielił w swe dzieła klasyczny ideał piękna. Natomiast w Słowackim „ozwał się już człowiek zupełnie nowożytny, dusza cierpiąca, wahająca się, podlegająca każdej fali uczucia, każdemu podrażnieniu, myślą wlatująca do wyżyn gwiezdnych i znowu rozpaczająca o swych siłach, która ustawicznie walczy, ustawicznie bada... i to go czyni tak blizkim dobie naszej. Zowie Słowackiego modernistą w sztuce przed Baudelairem, indywidualistą i stwórcą „nadludzi” przed Nietzschem. poeta natchnień i symbolów, Cellinim formy poetyckiej przed szkołami parnasistów, symbolistów i dekadentów. Cóż dopiero mówić o „młodej Polsce”, której był naprawdę rodzicem.

Studium Kvpila zapoczątkowało jubileusz Słowackiego w Słowiańszczyźnie. Cieszyć się mogą potomni duchowi śpiewaka „Smutno mi Boże”, że czeskie pióro trafnie oceniło i przyjaźnie zapoznało pobratymów naszych z mistrzem pieśni polskiej. Spodziewamy się, że będzie to hejnał wielkiego święta naszego, który pobudzi pióra słowiańskie, by wyraz „wzajemnej znajomości słowiańskiej” dały godny i należyty.

JAN MAGIERA.

Na terenie Pragi Czeskiej.

Kiedy przed paru miesiącami pisaliśmy w *Tygodniku* o otwarciu jubileuszowej wystawy w Pradze, zacytowaliśmy pewien głos organu prasy czeskiej,

dźwięczący ówczesnie na nutę optymistyczną, który jednak nie okazał się zbyt przesadnym.

„Nasza wystawa—głosił dziennik—to nie tylko przedsięwzięcie handlowe... Jest to wystawa, która ma znaczenie wszechświatowe, oraz wszechsłowiańskie...

„W pracy nad jej stworzeniem wzięło udział tysiące Czechów, aby pokazać światu pracę swych rąk, pochwilić się swym dorobkiem kulturalnym. Oby nad tegoroczną wystawą wznosił się anioł pokoju! oby pod jego skrzydłami podali sobie ręce Czech z Polakiem, Serbem, Słowencem i Rosyaninem! Wielką wagę przywiązujemy do tej wystawy, wielką nadzieję w niej pokładamy!”...

I wystawa w Pradze czeskiej stała się istotnie terenem zjazdów i bratań się słowiańskich.

A zjazdy zainaugurowali nie poeci, marzyciele, literaci, ale zapoczątkowała je sfera ludzi w Polsce najbardziej realnie myśląca. Pierwsi do Pragi czeskiej wybrali się byli nasi kupcy i przemysłowcy, reprezentowani przez przedstawicieli z całej Polski.

Wycieczka kupiectwa polskiego nie zakończyła się na samych toastach polsko-czeskich: „Kochajmy się!” Uchwalono szereg rezolucji, które nie powinny przejść bez skutku większego.

Wnioski przeszły przez aklamację, brzmią one poważnie i blizkie są urzeczywistnienia.

„Kupcy słowiańscy, w granicach monarchii austriackiej zamieszkałi — brzmi rezolucya — zaznaczają, że martwe położenie obecnie nie pochodzi z ich winy, lecz że drogi na wschód są zamknięte. Uznając znaczenie organizacji stanu kupieckiego, proponują utworzenie Związku kupców słowiańskich”.

A dalej żądano:

1-o Ażeby przemysłowcy i kupcy słowiańscy państwa austriackiego obesłali próbami swych wytworów organizowaną w tym roku w Warszawie wystawę stałą prób i wzorów, by zająć mogli na rynku naszym stano-

*) František Kvpil: „O Juliovi Słowackém” w *Slovanským Prěhledě* r. 1908 (X.), zes. 1—3.



Ratusz w Pradze czeskiej, miejsce obrad konferencji słowiańskiej.

wisko, dotychczas ze szkodą naszą zajmowane przez innych, nam obcych.

2-o. Aby Izba handlowo-przemysłowa zainicjowała odwiedzenie Warszawy przez przemysłowców i kupców czeskich dla wzajemnego poznania się i uświadomienia o potrzebach naszego rynku, celem skutecznego konkutowania z innymi, zalewającymi go swymi towarami.

Ledwie powróciła do domów wycieczka kilkuset kupców polskich, kiedy Pragę czeską pojechali odwiedzić włościanie nasi.

* * *

W dniu 13 lipca odbyło się otwarcie historycznego znaczenia konferencji wszechsłowiańskiej, w której czynny udział wzięli przedstawiciele stronnictw polskich z Galicji, Królestwa, Litwy i Białej Rusi, a która ma być wstępem do przygotowywanego za dwa lata wielkiego zjazdu słowiańskiego.

W naszym pojmowaniu rzeczy przygotowawcze konferencyjne przedjazdy, jakieśmy to już poprzednio zaznaczali, mają o wiele większe znaczenie polityczne od samego zjazdu, projektowanego w roku 1910, który zresztą może jeszcze nigdy się nie odbyć, a jeśli dojdzie do skutku, nie wyda nadmiernie poważnych rezultatów.

Przyszły zjazd wszechsłowiański musiałby przeprowadzić szereg uchwał *politycznych*, ale samo uchwalenie żądań już wywoła wiele protestów, bo koncesje dla jednej narodowości słowiańskiej *volens volens* muszą być dawane kosztem drugiej, chyba—że chodzić będzie w poszczególnych wypadkach o walkę słowiańsko-germańską. W takich razach opinie musiałby być jednomyślnie antyniemieckie.

Ale zjazd słowiański nie ma nadto żadnej władzy wykonawczej, może żądać od państw i może nie otrzymać, a wtedy powaga jego straci na uroku. Konferencyje zaś nie żądają, lecz dopiero *obiecują żądać*—i ma to o wiele większe znaczenie. Ciało słabe zwykle jest najgroźniejsze w pojęciach otoczenia, dopóki obiecuje czegoś żądać, bo samo już żądanie, gdy nie jest poparte ręką zbrojną, przestaje być straszny.

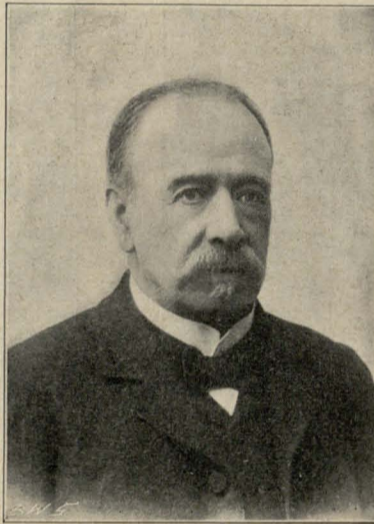
Nie jesteśmy jednak sceptykami na punkcie idei słowiańskiej, lubo patrzymy na rzeczy spokojnym bardzo wzrokiem. Niejedno da się tą drogą przeprowadzić, i w niejednym możemy skorzystać.

To też chętnie widzimy odbywającą się konferencyję w Pradze i wyrażamy wielkie zadowolenie, że znaleźli się na niej wyraziciele wszystkich polskich partii politycznych, z wyjątkiem socjalistów tylko, którzy przybycia swego odmówili.

Liczny udział Polaków w konferencji praskiej świadczy o zmianach, jakie pod wpływem polsko-czeskim zaszły w kierunku uzdrowienia tak do niedawna błędnie pojmowanego słowianofilstwa, graniczącego z określeniem urzędowego moskalofilstwa, nie mogącego mieć u nas żadnego popytu.

Ten nowy zwrot ma wiele do zawdzięczenia rozsądnemu zajętemu stanowisku Koła Polskiego w Petersburgu, z pos. R. Dmowskim na czele, który ideę słowiańską odrazu postawił na gruncie polskim.

zasłużonego jubilata koledzy i uczniowie jego wybili medal pamiątkowy i wręczyli go podczas serdecznej owacji. Na uroczystości obecny był cały świat lekarski z drem Kramsztykiem na czele, który też w imieniu zebranych złożył jubilatowi życzenia długich jeszcze lat życia i pracy oraz oddał hołd zasługom jego obywatelskim i naukowym. Cały przebieg jubileuszu miał charakter bardzo uroczysty i serdeczny.



Dr. Bolesław Gepner.

Stosunki handlowe z Francją.

Wobec przyjmującego kształty konkretne bojkotu wyrobów pruskich, kupcy polscy zniewoleni zostali szukać towarów obcych poza granicami państwa niemieckiego.

Niedawno z Warszawy wyjeżdżała specjalna delegacja do Paryża, Pesztu i Pragi Czeskiej, celem nawiązania stosunków handlowych z tamtejszymi przedsiębiorstwami, obecnie bawiła w naszym mieście deputacja kupców i przemysłowców francuskich, celem zbadania polskich terenów zbytu i ustalenia rynków polskich dla towarów z Francji.

Wizyta nad Wisłą wypadła ku pożytkowi Francuzów, a ku zadowoleniu naszemu.

Bojkot pruski przestaje więc być czym fraszem.

Załączona fotografia przedstawia grupę gości francuskich z p. G. Kamińskim oraz szefami firmy wydawniczej Gebethnera i Wolffa.

Sprawa słowiańska istotnie musi być wciąż jeszcze sprawą polską, dopóki nie znajdzie pożądanego rozwiązania anormalnego stosunku obecnej Rosji panującej do podwładnej „prowincji polskiej”, jak to ją się dotąd jeszcze traktuje.

G.

Pięćdziesięciolecie pracy lekarskiej.

Dr. Bolesław Gepner, znany okulista i naczelny lekarz instytutu oftalmicznego, obchodził niedawno rzadką i niezwykłą uroczystość pięćdziesięciolecia pracy zawodowej. Na cześć



Ćwiczenia górskie armii włoskiej.

Zapowiedź pożytecznego czasopisma.

O walce z wytwórczością pruską pisze się u nas obszernie, ale artykuły agitacyjne mają zazwyczaj charakter dorywczy, nie zawsze należycie uwzględniając potrzebę zastępowania fabrykatów obcych wyrobami polskimi. Na bliższą więc uwagę zasługuje zapowiedź pisma miesięcznego p. t. *Polski patryotyzm przemysłowy*, które od sierpnia r. b. ma zacząć wychodzić w Warszawie, a obecnie ogłasza prospekt, stawiając sobie za cel wytyczny:

1-o Obudzenie w społeczeństwie polskim zarętej, świadomej celu i należycie zorganizowanej odporności i czujności na polu przemysłu, handlu i rzemiosł, dzięki czemu wzmoże się dobrobyt we wszystkich warstwach narodu.

2-o Zainteresowanie szerokich kół społeczeństwa polskiego zagadnieniami natury gospodarczej i zaszczerpianie wskazań, że obowiązkiem narodowym Polaków jest nie tylko żyć myślą rodzimą i kierować się uczuciem narodowym, lecz że należy także spożywać i użytkować przedewszystkiem owoce własnej ziemi i wytwory polskich rąk. Pismo wychodzić będzie pod kierunkiem p. Ursyna. Prenumerata roczna w Warszawie wynosi rb. 3.

Pismu należy życzyć jak największego poparcia!



Delegaci kupiectwa francuskiego pp. A. Muzet, H. de Lamont, hr. J. de Brettes, S. A. Buisson zwiedzają zakłady Gebethnera i Wolffa.

WIECZORY TEATRALNE.

Letnie uczasy Melpomeny warszawskiej. — Zmiany w Dyrekcji teatralnej. — Rozkwit farsy i operetki w przeciwstawieniu do osłabnięcia dramatu i komedji.

— „Niebieska myszka“ w Teatrze Nowym. — „Odbijanego!“ sztuka „kontuszowa“ Winc. Łapackiego. — Autor, aktorzy i publiczność.



Letnie uczasy Melpomeny warszawskiej z nazwy już tylko przypomina wielkie „sezonowe“ widowiska, którym kres położyła wakacyjna kanikula. Zaryglowane szczególnie podwoje monumentalnego przybytku opery i baletu, tragedji i komedji.

Tradycji stało się zadość...

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że, jak nożem uciął, sprzątnięto z widowni Warszawy—wieczory teatralne, że zamarło jedno z tęt charakterystycznych jej powszedniego życia. „Ogródków“ wprawdzie już nie ma—ani na lekarstwo; miejsca ich zajęły... kabarety i kinematografy. Ale warszawska Melpomena nie wyjechała bynajmniej „do wód“ ani też „w góry“, zameldowawszy nam tylko uprzejmie adres swój: *Belgique Ostende* lub *Galicja Zakopane*. Melpomena jest do tego stopnia zapamiętała — Warszawianką, że niczem jej z syreniego bruku nie wystraszyć. Ani przemalowywaniem kamienic, ani spiekotą uliczną, ani mirażem rozkosznych obcowania z Naturą, ani nawet troskliwym zaklinaniem nadwornego jejmości lekarza.

Letnie wczasy swoje obraca Melpomena nasza głównie na załatwianie rozlicznych spraw gospodarskich teatralnych, wewnętrznej natury. Nie przymierzając, jakby smażyła konfitury na użytek i zapas zimowy. Oto w tych dniach właśnie u samej góry zarządu teatrów warszawskich sporządzono dyrekcyę do tego stopnia gruntownie, że aż mamy oto nowego prezesa dyrekcyi, p. Małyszewa, a słyhać, że w całej administracji teatralnej, oraz w całym kierownictwie artystycznym zająć mają głębokie zmiany i reformy. Zapoczątkowano te ostatnie usunięciem ze stanowiska dyrektora dramatu p. Kazimierza Zalewskiego, który, aczkolwiek sam pisarz sceniczny i wytrawny znawca teatru, nie wykazał w ciągu dziesięciomiesięcznej działalności ani odpowiedniej energii, ani pomysłowości. Repertuar Teatru Rozmaitości ostatnimi czasy zakulał i podupadł. Ożywienie go i rozwinięcie stało się „dojrzałą—najzupelniej—potrzebą“. Kto tego renesansu ma dokonać? W tej chwili jeszcze niewiadomo. W tej chwili wiadomo tyle tylko, że p. prezes Małyszew wprost wziął się wrócić scenie dramatycznej warszawskiej tradycyjną świetność. Życzymy jak najszczęśliwej powodzenia!

Tymczasem Melpomena, czujna i pracowita pani, gdy godzina „teatralna“ nastanie, wychodzi na miasto obejść we własnej osobie letnie świątynie i kapliczki kultu swego. Kwestya to bynajmniej nie formalna. Pańskie oko—jak z przysłowia wiadomo—przedziwnie strzeże dobytku. A chodzi o to, czy symboliczny Znicz kunsztu teatralnego nie zgasł gdzie przypadkiem. Warszawa nie jest, niestety, Romą starożytną. Świętego ognia nie strzegą tu u nas... westalki, och! nie. Wskazana jest przeto czujność nieprzerwana i troskliwa opieka.

Na ulicę Królewską, do Teatru Nowego, chyba jednak tylko zaprowadzi—miły obowiązek. Wstępuje tam Melpomena—dla własnego chyba tylko zadowolenia! P. Ludwik Śliwiński, dyrektor operetki i krotchwili, tak sprawuje się przykładnie, z takim pietyzmem, godnym najświętszej sprawy, sporządza coraz to uciechniejsze farsy dla Teatru Nowego, że z zamkniętymi oczami...

Nie, z zamkniętymi oczami nikomu byśmy nie radzili uczęszczać do teatru. Nie patrząc jeno na afisz, można brać bilet do Teatru Nowego. Bo czy tam grają „Dwadzieścia dni kozy“, czy „Muchę“, czy „Niebieską Myszkę“, to, dalibóg, wszystko jedno! Zawsze trafi się na rzecz arcyzabawną, a graną znakomicie.

Tak już jest. Tak już się złożyło, że pod względem skończenia dobrego wykonania prym trzyma na scenie warszawskiej—farsa. Farsa—francuska i—operetka międzynarodowa.

Oto dla przykładu, najświeższej daty premiera w Teatrze Nowym, owa „Niebieska myszka“, trzyaktowa farsa Engla. Jedno z drugiem: obok nie przebierają-

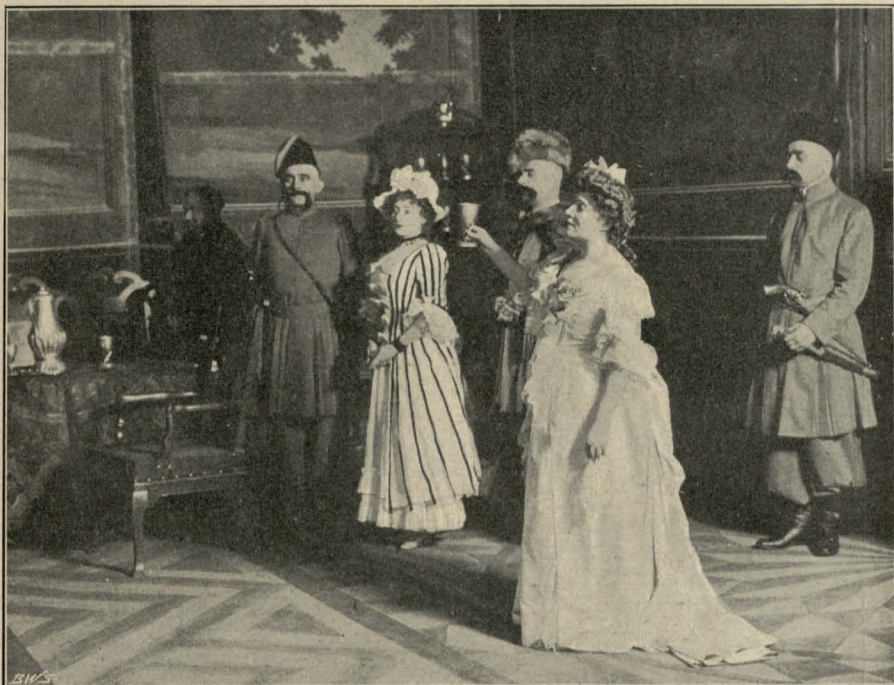
cych w sposobie powikłań, kokotka, udająca żonę, zabiegającą u p. dyrektora o awans dla męża, nieprawdopodobna kobieta, pędzona co tchu z jednej bufonady na drugą etc. etc., ale jakże to gra!

Doprawdy! Przychodzi na myśl, patrząc na ten *hors ligne* zespół aktorsko-reżyserski, że, gdyby tak kiedy pobudzić nagle ze snu pp. Gasińskiego, Łaską, Sikorskiego, Fertnera, Trapszę, Baumnową, wszystkich ze „złotej ligi“ farsy warszawskiej i zebranych na scenie dać tylko krótkie hasło: „Akt pierwszy!“ — ręczyć można, że w mig zaczęliby grać sami, zaczęłyby iść sama na scenie... wyborna jakaś krotchwila improwizowana, wcale a wcale nie gorsza od najlepszych wielu. Taką już skończoną wprawę i bajeczne „zgranie się“ osiągnięto.

Podczas zaś gdy się to dzieje, Teatr w Ogródku Saskim (letni przybytek Teatru Rozmaitości) ruszył się dowiesić, że *polską*, specyficznie *polską* sztukę chce i może wystawić z równym pietyzmem, jak... utwór sceniczny francuskiego prezesa Rady ministrów. Wybór padł na graną przed laty kilkunastu w Krakowie pięcioaktową komedję Wincenego Rapackiego, dającą szerokie pole do popisu—reżyserskiego.

„Odbijanego!“ zowie się ta udratyzowana anegdota pamiętnikowo-historyczna z końca XVIII wieku, Na pierwszym planie: Potocki, starosta kaniowski, zawadyackiej pamięci. Nadobną szlachcianeczkę, córkę ekonoma z któregoś folwarku swego, w przystępie fantazyi magnackiej, pojął za żonę. I tyranizuje ją, że aż wstręt bierze patrzeć i słyhać. Ale nieszczęsnej cferze zsyła Opatrzność obrońcę w osobie szlachetnego a dzielnego młodziana, wojewodzica Gozdzińskiego. Stary Potocki trzęsie Ukrainą, Wołyniem i Podolem, wyprawia bezkarne brewerye, wszystko uchodzi jego nieokiełznanej, napół dzikiej gwałtowności i—potęgde. Lecz wojewodzic Gozdziński sam panicz z wielkiego domu, chcąc dalekiego od supremacyi Potockich; tedy nie uląkł się jaśnie wielmożnego i porwał staroście żonę. Porwał nie dla siebie.

Porwał ją, aby dać jej bezpieczne schronienie w domu rodzzonego ojca, wojewody. Alisci rozwścieczony Potocki czyni zbrojną inkursyę na rezydencyę Gozdzińskiego w celu „odbicia“ żony. Wywiązują się batalie naprawidłowsze nawet pod grom armat starościńskich; wojewodzic postrzelony; pedagra złożony wojewoda każe wywiesić białą chorągiew; w dodatku *hic mulier* wojewodzina, surowo przestrzegająca drażniących zasad „moralności“, wymogła na mężu, aby porwaną przez sy-



„Odbijanego“, scena z aktu IV-go.

na starościncę zwrócił prawowitemu małżonkowi, staroście. Jaki tam mąż, do tego nic nikomu; zawsze to mąż wobec Boga i ludzi!

Tedy Potocki tryumfuje. Niedługo jednak. Znowu piekło odzyskanej żonie wyprawia; pewnego dnia upija się i palić zaczyna z pistoletu, „wystreliwując“ jej z rąk kielich; na rodzzonego teścia porywa się... szaleje... Więc cicha gołębica, starościna, trwogą zdjeta, ucieka. Tym razem atoli sama oddaje się w opiekę wojewodzicowi, ku któremu nieboraczka zapalała poważnym afektem. Wojewodzic ma piękną damę odwiedzić do Lwowa, do klasztoru, gdzie osiąść ona zamierza. Starosta tymczasem puścił się w pogoń. Dopada w przydrożnym zajeździe do uciekającej pary. I... kładzie trupem oboje? karczmę równa z ziemią, sól sypie i krzyż stawia?

Nie, nie—wręcz odwrotnie! Dobra natura bierze górę w zawadyce. Drgnęto wreszcie w nim samym serce dla starościny. Nie chce nawet korzystać z ponownego „odbicia“. Przebacza. Nie dość na tem. Oddaje starościncę wojewodzicowi (ile że oboje srodze w sobie rozmiłowani). Sam, wzięwszy co najspieszniej rozwód, zamknie się do końca życia, jako pokutnik i eremita w klasztorze. Pod taka smugą ekspacyjno-szlachetno-rozrzuwającego światła kończy się sztuka wielce kolorowa, melodramatyczna i hataśliwa.

Ileż mieniących się kontuszów, szczękających karabeli, gruchających zalotów, efektów *à la* „Trzej muszkieterowie“, czarnej złośliwości ludzkiej i udęczania przerażycielskiej niewinności! Przytem ruchu i huku co nie miara, a w końcu co za ulga w napięciu tylu wrażeń!

Publiczność (juści, że nie ta, zblazowana modernistycznymi subtelnościami!) słyha z nie słabnącem zajęciem i przejęciem się nieklamanem. No, i dobrze. Wrażenia takie odświeżają i wyrabiają wrażliwość, jak gimnastyka nieskomplikowana, a wypróbowana. Jeśliby,—co o mały włos, że się nie stało,—Potocki przemienił się w Radziwiłła Panie Kochanku, ręczyć można, że niebardzo spozstrzeżonyby się na sali. Nie spozstrzeżonyby się, jeźliby sztukę Rapackiego dokończył pisać... Kraszewski. Podobnie jak nie spozstrzeżono się, że p. Kotarbiński, jako starosta kaniowski, wcale nie uwidocznił zacnego duchowego podkładu zawadyki, i przeto spadła nazbyt niespodzianie „przemiana“, zaszła w Potockim w akcie ostatnim. Domniemanie nie spozstrzeżono się, że p. Śliwicki, dystyngowany liryczny, nie ma w naturze swego talentu wystarczająco bohaterkich akcentów dla roli wojewodzica. Natomiast niczyjej nie uszła baczności piękna boleściwość p. Przybyłko-Potockiej (starościna) o nastroju „Śpiewów Historycznych“, a tak do twarzy artystce. Leszczyński, wspaniały, spedigrowany, nie ruszający się z fotelu wojewoda, w żółtym żupanie—jak malowany! Oto mi prestacya, co się zowie! P. Pichorówna, subretka *à la française* pani starościny, jak zwykle, wyborna. Tylko sceny zbiorowe dalekie nawet od obojętności już chyba mejnigeniejszych wzorów. Prób było



P. Przybyłko-Potocka, jako starościna kaniowska w „Odbijanego“.



„Lewiatan”, balon Zeppelina w locie nad Zürichem.

oczywiście za mało. Miejmy nadzieję, że szlafrokowość tę zmieni nowe kierownictwo sceny dramatycznej.

Na ogół p. Rapacki trzymał się dość wiernie tradycji historycznej i nie traktował całego incydentu zbyt tragicznie, malując słusznie nie potworność ludzką, ale nie mającą granic wybujałość staropolskiego półpanka, mniej w duszy czarnego, niżby z czynów zapamiętałych sądzić wolno. Tego ogólnego, a zasadniczego tonu nie uwzględniono w interpretacji „Odbijanego!” na scenie naszej i rozłamano niejako na dwoje obrazek, bynajmniej nie malowany żółcią zgryźliwą.

* * *

Była... była, moścudzieju, w owych czasach i fantazyja z okrucieństwem granicząca, i wiolacya najświętszych praw bliźniego—była, ani słowa. Ale grunt był poczciwy, a wokół kawalerskie i niewieście cnoty kwitły, moścudzieju, jak maki na bujnym łąnie... ho!

I ponieważ to tkliwe autora ukochanie przeszłości naszej przebiło się nawet przez przejawskrawienie interpretacji scenicznej, przeto sztuka zdobyła szczerą a serdeczny aplauz publiczności. Nie wspominając o niezawodnej nigdy, wrodzonej wrażliwości naszej na sam już tylko widok żupanów, karabel, pasów litych i ryngrafów.

Przyjemnie było widzieć ojcu, matce...
Owych w kontuszu i w konfederatce,
Jak amarantem gra wspaniała szata,
Jeśli nie syna—to choć antenata!

Nie wstyd przyznać się! Wobec tego migotania i szeleszczenia jedwabi i łyskania szabel krzywych, wobec bodaj strzępków tego wielkiego obrazu, co go bez wrażenia nie tknąć nawet wyobraźnią—rozkrusza się mimowoli najsumienniejszy i najnieubłażniejszy obowiązek krytyka-sędziego.

On sam niepostrzeżenie roztopia się w szary—może bezkrytyczny, ale szczerze, głęboko czujący—tłum. I—klaszcze.

Komu? Ach, mój Boże, komuż jeśli nie wojewodom i starostom, rotmistrzom pancernych chorągwi, kasztelanom i podkomorzynom, ba nawet tym łykom, barszkującym w oberży, samym tym, bodaj z tektury i płótna, ścianom sal staroświeckich, zawieszonym panopliami... Wszystkim i wszystkiemu.

Bo to—rodzone.

Tedy my sobie... innym razem pójdziemy do Teatru Letniego ze skalpelem i lupą. Tylko nie dzisiaj i nie jutro jeszcze, gdy grać tam będą „Odbijanego!” Niech grają na zdrowie!

i pracują wszyscy, a zaś w tym wypadku: i autor i artyści i napozór nieme dekoracje i publiczność.

I harmonii tej rozprzęgać nie trzeba.

CZESŁAW JANKOWSKI.

Seminaryum nauczycielskie żeńskie.

Wśród licznych zakładów naukowych, które powstały ostatnimi czasy i rozwinęły gorliwą działalność, na szczególną uwagę, a nawet sympatyę społeczeństwa zasługuje seminaryum nauczycielskie dla dziewcząt, założone przed rokiem z górą przez p. Walicką. W tych dniach właśnie zamknęło ono kurs i dało społeczeństwu pierwszą grupę przygotowanych nauczycielek ludowych. Pochodzą one przeważnie same z ludu i pragną gorąco do niego powrócić, podzielić się ze swą młodszą bracią tą garścią promyków wiedzy, które zdobyły w zakładzie. A zdobywały tę wiedzę z wielkim zapałem, wiedząc, że nie dla siebie, lecz dla innych pracują.

Kurs nauk w seminaryum, dotychczas dwuletni (prócz kursu wstępnego, na który przyjmowano uczennice, niedostatecznie na kurs pierwszy przygotowane), na przyszłość będzie trzyletni; na kursie trzecim mają być udzielane tylko wskazówki metodyczne i będą odbywały się lekcje z dziećmi, jako próbne i przygotowawcze.

Zakres nauk, wykładanych w Seminaryum, jest bardzo obszerny. Na pierwszym kursie uczono: religii, języka polskiego, rosyjskiego, arytmetyki, geometrii, fizyki, chemii, historii Polski, historii Rosyi, geografii powszechnej, geografii Rosyi, rysunków, kaligrafii, robót, gimnastyki, śpiewu; odbywały się przytem pogadanki społeczno-obyczajowe, oraz zajęcia praktyczne w laboratorium chemicznym. Kurs drugi zajęły następujące przedmioty: religia, pogadanki społeczno-obyczajowe, język polski, rosyjski, arytmetyka, geometria, fizyka, chemia, zoologia, botanika, higiena, pedagogika, historia Polski, historia Rosyi, geografia Pol-



Seminaryum nauczycielskie żeńskie.

Pani starościno, wznos piękne oczy swe ku niebu-województu płoń i burz się, pukajcie. działa, i szczękajcie, karabele!... My wszak wiemy, że bywało nie zupełnie tak jota w jotę. Ale my sobie dośpiewamy w duszy wszystkie potrzebne nam warianty. I sukces kompletny sami zapewnimy suggestyjnej sztuce.

ski, geografia Rosyi, rysunki, kaligrafia, roboty, gimnastyka, śpiew; na tym też kursie bywały lekcje próbne w szkole początkowej: uczennice wykładały język polski, arytmetykę, miały pogadanki przyrodnicze i społeczno-obyczajowe i t. p.

Poza wykładami uczennice zwiedziły: wystawę etnograficzną przy Muzeum przemysłu i handlu, Muzeum sztuk pięknych, stację filtrów, wystawę przyrodniczą i wystawę przemysłu ludowego. Widzimy więc, że zarząd Seminaryum dokładał wszelkich starań, by swe wychowanki przygotować należycie do ich trudnego, a zarazem tak zaszczytnego zawodu. Nie trzeba chyba dodawać, że zakład tego rodzaju w dzisiejszych czasach, kiedy praca nad ukulturalnieniem społeczeństwa, mimo wszelkich przeszkód, rażno idzie naprzód, odda krajowi niepospolite usługi.

I wątpić nie należy, że owe 25 młodych nauczycielek, które w imię oświaty dla szerokich mas pierwsze opuściły Seminaryum nauczycielskie, staną się godne swego powołania, jako pionierki pracy społecznej, przed którą leżą tak szerokie jeszcze, dziewicze, ręką ludzką nie tknięte pola. hg.

Zjazd pisarzy polskich.

Komitet jubileuszu Al. Świętochowskiego zamierza urządzić w początkach października r. b. w Warszawie zjazd o charakterze literackim i społecznym. Organizatorowie jego proponują przyszłym uczestnikom z pośród polskich autorów i autorek szereg bardzo interesujących tematów do opracowania, nie ograniczając jednak nikogo co do osobistych pomysłów w dziedzinie nie objętych spisem referatów.

Tematy, proponowane dla sekcji literackiej zjazdu są następujące: 1) Życie i prace Al. Świętochowskiego. 2) Al. Świętochowski, jako szermierz postępu. 3) Al. Świętochowski, jako działacz społeczny. 4) Al. Świętochowski, jako polityk. 5) Al. Świętochowski, jako uczyony. 6) Al. Świętochowski, jako nowelista. 7) Al. Świętochowski, jako dramaturg. 8) Język Al. Świę-



Konkurs pływacki W. T. W., p. Kozłowski robi skok z dachu przystani. Fot. Ł. Dobrzański

tochowskiego. 9) Duchy. 10) Synteza psychologiczna. 11) Humanizm i hellenizm w twórczości Świętochowskiego.

Oprócz tematów literackich organizatorowie zjazdu proponują również dla sekcji społecznej następujące referaty: 1) Rozwój wolnej myśli w Polsce. 3) Demokratyczny charakter społeczeństwa nowoczesnego. 4) Prądy postępowe, jakie zyskują przewagę w ostatnim czasie. 5) Najpilniejsze potrzeby naszej oświaty. 6) Zasady samorządu gmin wiejskich i miejskich. 7) Równouprawnienie narodowości. 8) Sprawa żydowska. 9) Swoistość dążeń kulturalnych narodów, współżyjących terytorialnie (Polaków, Żydów, Litwinów, Rosjan, Niemców). 10) Równouprawnienie kobiety w dziedzinie pracy. 11) Przyszły ustrój rodziny. 12) Uspołecznienie wychowania. 13) Instytucje wychowawcze, społeczne w teraźniejszości i przyszłości.

NASZE RYCINY.

„Ból ludzkości”. F. M. Wygrzywański. Piękny w pomyśle i głęboki w swej treści obraz Wygrzywańskiego doskonale ujmuje istotę cierpienia i znoju, która wypełnia życie ludzkości w wędrówce jej ku szczytom ideałów. Krzyż męki, symbol odwiecznego bólu i cierpienia, przyniata tłumnie skłębioną rzeszę, nie szczędząc ni młodych, ni starych, ni kobiet, ni mężczyzn — i piętno swoje krwawo znaczy na wykrzywionych bólem twarzach. Ponure tło obrazu, mgły, rozwiszone na firmamencie, oraz czarne ramiona opuszczającego się krzyża wytwarzają odpowiedni nastrój, pozwalający

głębiej wyczuć ideę autora. — *Przed wojną świętą*. A. W. Kowalski. Na obrazie widzimy wyznawców proroka, w fanatycznym szale pędzących przed siebie, aby siłą oręza i wśród potoków krwi znaczyć potęgę swoich wierzeń. — *„Kobieta”*. Stanisław Czarnowski. Rzeźby Czarnowskiego, odznaczone „mention honorable” w Salonie Paryskim, rzucają się w oczy subtelnością wykonania linii i przegubów ciała kobiecego.

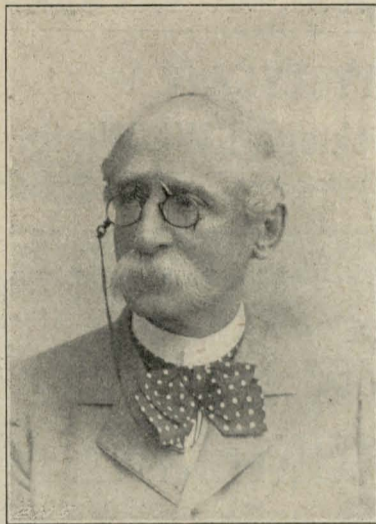
KRONIKA.

Tablica pamiątkowa ś. p. d-ra Krawajewskiego, wmurowana w szpitalu Dzieciątka Jezus, której podobiznę podaliśmy w zeszłym numerze *Tygodnika*, wykonana została przez art.-rzeźbiarza Jana Woydygę.

Zmarli.

Aleksander Heinrich, zmarł w dniu 7-ym b. m., nie doczekawszy się swego jubileuszu lekarskiego, jaki w tych dniach miał obchodzić. Urodził się w Warszawie, dnia 26 sierpnia 1835 r., gdzie też otrzymał wykształcenie gimnazjalne, a następnie pojechał do Petersburga, gdzie w Akademii medyko-chirurgicznej w r. 1860 za pracę „De laryngitide cruposa et diphtherica” otrzymał dyplom doktorski. Po ukończeniu studiów wyższych osiadł na stałe w Warszawie, zajmując przez kilka lat z rzędu posadę lekarza ordynującego w szpitalu ujazdowskim i pracując w dalszym ciągu w dziedzinie piśmiennictwa lekarskiego. Oprócz kilku rozpraw specjalnych ś. p.

Aleksander Heinrich przełożył na język polski część I-szą „Dzieł lecznictwa” H. Haesera. Zmarły był synem zasłużonego



Dr. Aleksander Heinrich.

farmaceuty, chemika i filantropa, Teodora. Cieszył się uznaniem i sympatją wśród liczego grona swoich pacjentów i kolegów-lekarzy.

Ignacy Kwieciński, rewizor Izby Obliczkowej warszawskiej, urodził się w majątku Męciewice gub. wileńskiej pow. oszmiańskiego. W r. 1889 dla zapewnienia bytu rodzinie, dla chleba wyjechał do Czardżu, jako urzędnik kontroli przy nowo budującej się kolei w Turkiestanie. Pobyt swój i ciosy, jakie go tam spotkały, opisał z ogromnym talentem w wzruszającym swym

głębokim tragizmem pamiętniku: „Po szczęście” (Zacharyasz Ćwirko, pseud.), drukowanym w 1892 r. Od 1894 r. zamieszkał w Warszawie, oddany obowiązkowej pracy, króla pochłaniała jego czas całkowicie tak,



Ignacy Kwieciński.

że umiłowanej przez się pracy twórczej z konieczności zaniechać musiał. Zmarł tu dnia 3 czerwca r. b., w 60 roku życia. Hart duszy, zacność i nieposzlakowana prawość charakteru, inteligencja wprost imponująca, serce tkliwe i miłujące ludzi złożyły się na tę postać jasną, niezwykłą. W sercach tych, co go znali, pozostawia żal szczery, głęboki. Cześć jego pamięci!

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na drugie półrocze r. b.

N A D E S Ł A N E.

„F. KOZŁOWSKI”
Warszawa, Rymarska 7, róg Łoszna

Telef. 39-99
OBECNIE
NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO: Lamp, Porcelany, Fajansu, Szkła, Galanterii, Noży, Widelcy etc., etc. Wynajmuje nakrycia stołowe, plastery, bieliznę, krzesła, stoły.

S. Nowacki

ŻYRANDOLE

kościelne i salonowe do świec i gazu. Wielki wybór. Najniższe ceny. Reperacye i odnawianie żyrandoli.

W wielkim wyborze przyzmy kryształowe do żyrandoli. Jedyne palnik naftowo-żarowy bez wszelkich komplikacji 60% oszczędności nafty. Komplet rub. 3.

KORALE PRAWDZIWE czerwone, różowe i białe,
TOREBKI damskie,

PASKI DAMSKIE i dla dzieci w wielkim wyborze
POLECA

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNAISKA FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

ALFONS MANN
Warszawa, Tomackie 3.
Fabryka założona w 1819 r.

Wyroby stalowe ostre, tylko w wyborowych gatunkach: Brzytwy. Maszynki do golenia i do strzyżenia. Noże ogrodnicze. Sekatory.

W. CYBULSKI i S-ka
Warszawa, Nowo-Senator 7.
Telefon 60-29
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

FORTEPIANY, PIANINA,
PIANOŁE, FONOLE
GEBETHNER i WOLFF
ORGANY, MELODYKONY
Warszawa, Krak.-Przed. 17

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą

w prenumeracie pism
krajowych i zagranicznych
po cenach redakcyjnych.

ODPOWIEDZI.

Prenumeratorka Zofia S. 1) Natkowski. „Zarys geografii powszechnej (i poglądowej) z liczn. rycinami, brosz. rub. 1. 2) Baranowski i Dziedzicki. „Geografia powszechna dla wyż. klas gimn.”, rub. 1,40. 3) Jeske. „Metodyczna geografia, kurs element.”, rub. 1,30. 4) Romer. „Geografia dla klasy I szkół średnich”, opr. kop. 65. 5) Korzon. „Historia powszechna, I starożytna, karton. rb. 1,50, II Wiek średnie, karton. rb. 2,40, III Nowożytna, 2 tomy rub. 6,40, IV Nowoczesna, od 1788—1805, rb. 3. *Marysienka, Br. Rudziński, Żarnasz, St. Pastuszek, Octavi-Eljos, Al. Szuro, T. T. K., Oczekujący, P. S., Ja...a, Jan Tokarzewski.* Nie zamieścimy.

„Cisza letnia”. Wierszyki zręczne, lecz wobec licznych zapasów zamieścić nie możemy.

Stella Olgierd w Tarnowie. Wiersze Pani nie nadają się dla nas do druku.

P. W. Band. w Żabn. Wiersz Pański poświęcony pamięci A. Potockiego mimo znacznej tendencji z powodu mało artystycznej formy drukowanym być nie może.

P. Eug. Dobrz. Z łaskawie nadesłanego artykułu p. t. „Eleaci za dni naszych” nie skorzystamy.

P. Wcl. Rol.—Lied. „Monografia imienia Jan” nie dla nas.

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

ZAKŁAD LECZNICZY DENTYSTYCZNY Telefon 167.94

Lekarza Dentysty **Stefana Życzkowskiego i Wł. Wiktora**
 porada 50 k., leczenie, plombowanie, zęby sztucz. najnow. syst. Marszałkowska 153 róg Królewskiej

WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA

MARTA NORKOWSKA:

PIEKARNIA I CUKIERNIA

wytworna i gospodarska z ilustracjami.

Cena rub. 1, w opr. kart. rub. 1.20.

NAJNOWSZA KUCHNIA

wytworna i gospodarska

zawiera 1240 przepisów gospodarskich z uwzględnieniem kuchni jarskiej, z **ilustracjami**, wzory nakrycia stołu, sposób ogólny podawania przekąsek i potraw, 70 wzorów „Menu” skromnych i wystawnych śniadań, obiadów i kolacy na każdą porę roku i t. d. Wydanie nowe powiększone. Cena rub. 1.80, w kart. rub. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Na mocy zezwolenia Ministerium Spraw Wewnętrznych przy Instytucie moim gimnastycznym, egzystującym od r. 1874, otwarte zostaną z d. 1 września dla Nauczycieli i Nauczycielek

Szkoła Gimnastyki Szwedzkiej leczniczej i masażu.

Wydawać się będą patenty z prawem udzielania lekcyi we wszystkich zakładach naukowych, oraz otwieraniem własnych gimnastycznych zakładów. Zapis kandydatów i kandydatek oraz informacje codziennie do 15 czerwca od godz. 5 do 9 na miejscu Aleja Jerozolimka 31. Po 15 czerwca wiadomość u Dr. Biehler, Wilcza 32.

Bolesław Olszewski.

Denaturowany spirytus.
 Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kuchenki, żelazka i t. p.
B. CIA WIŚNIEWSKY i S-ka
 Foksal 1B, Telefon 3069.

MARIENBAD „Haus Hamburg”
 dr. St. Benedykt Kwiatkowski, b. I Asystent kliniki chorób wewnętrznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, ordyn. od 1 maja do 1 października.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC
KRAKÓW TELEFON 671

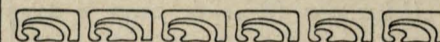
MARYÓWKA

Sanatorium i Zakład wodolecznicy pod Lwowem. Przyjmuje chorych celem leczenia. Wszelkich wyjaśnień i prospekty odwrotnie wysyła właściciel dr. Józef Zakrzewski.

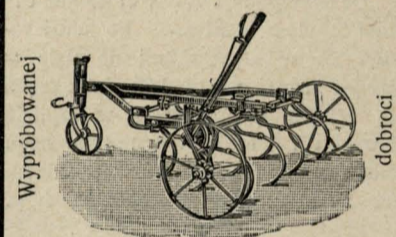
J. MIECZKOWSKI, Fotografia
 Marszałkowską III. Telefon 16.81.

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala świętego Łazarza Nowosentorska 10. Telefon 942. Choroby skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
 Browaru poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**



Wielki wybór najnowszych
Kultywatorów sprężynowych
 zastosowanych do wszelkich rodzajów gleby i do różnej siły pociągowej.



Szczegółowe opisy przesyłam na żądanie
ALFRED GRODZKI
 Warszawa, 33 Senatorska.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO” w ROKU 1908.

NOWA SERJA.

12 TOMÓW DZIEŁ HISTORYCZNYCH, LITERACKICH I NAUKOWYCH

W cenie niższej rb. 6, zamiast rb. 23 kop. 90.

Chmielowski P. Józef Ignacy Kraszewski. Zarys biograficzno-literacki	3.—
Desmolins E. Szlaki dziejowe a typy społeczne. Szlaki starożytne. Przyczynek do geografii społecznej. Spolszczył Ludwik Krzywicki	1.50
Kochanowski J. K. Szkice i drobne historyczne	2.—
Papée F. Studya i szkice z czasów Kazimierza Jagiellończyka	2.40
Raleigh T. Zasady elementarne polityki, z angielskiego tłómaczył Dr. J. Polak	—,60
Smoleński Wł. Ostatni rok Sejmu Wielkiego (dalszy ciąg dzieła ks. Kalinki p. t. Sejm czteroletni). Wyd. 2-gie	3.40

Sobieski W. Dr. Szkice historyczne	1.50
Sprawy szkolne i wychowawcze. Odczyty, wygłoszone w wydziale wychowawczym Tow. higienicznego. Serya I	1.—
Tokarz W. Ostatnie lata Hugona Kołłątaja, 1794—1812. Praca, odznaczona nagrodą im. J. U. Niemcewicza. 2 tomy	4.50
Weysenhoff J. generał. Pamiętnik 1789—1831. Z portretem autora, wydał Józef Weysenhoff	2.—
Zdziechowski M. Szkice literackie I.	2.—

12 POWIEŚCI

W cenie niższej rb. 5, zamiast rb. 15 kop. 30.

Gawalewicz M. Mgła. Powieść	1.20
Gliński K. W Babinie. Powieść z pierwszych lat Rzeczypospolitej Babińskiej. 2 tomy	2.50

Gruszecki A. Słomiany ogień. Powieść współczesna	1.50
Jabłczyński F. Romans.—Około śmierci.—Przy robotach.—Szum drzew.—Eustachiusz.—Panna Anna i inne obserwacje życia.—Uczciwy człowiek.—Don Marco Bullon.—Pantofle	1.50
Jeske-Choiński T. O mitrę gospodarską. Powieść historyczna z XVI stulecia	1.50
Kosiakiewicz W. Plama (Z pamiętników wynalazcy)	1.—
Mutermilch M. Żydzi. Powieść	1.50
Orkan Wł. Nowele. Z przedmową Kazimierza Tetmajera	1.—
Prévost M. Listy do Frani. Przekład Maryi Rodysowej, z 59 wydania oryginału	1.20
Rojan K. Lepsze czasy. Powieść	1.20
Źwiderska A. Obok szczęścia. Powieść współczesna	1.20

PLYN **HEMOGEN MAGISTRA KLAWE**

Cena flak. rub. 1.

najracjonalniejszy preparat żelaza.

stosowany przy ogólnym osłabieniu, małokrwistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku. Uznanym przez powagi lekarskie, jako **działny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt.** Wyrób laboratorium apteki Magistra Klawe, Warszawa, 10 Pl. Św. Aleksandra.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście** **№ 15** dom Hrabiego **J. Potockiego**

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF. Współredaktor literacki Artur Oppman (Or-Ot). Kierownik artyst. Józef Holewiński. Sekr. red. Stefan Gorski. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2. — Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa